MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 23. WARSZAWA, 3 CZERWCA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

PROBLEMAT NADDUNAJSKI i POLSKA

PO OKRESIE stosunków dosyć niejasnych położenie z dnia na dzień staje się coraz wyraźniejsze. Kwestja naddunajska wchodzi w nową fazę, której czynnikiem głównym jest kompromis francusko-włoski, idący, jak z wielu objawów wynika, dalej znacznie, niż to się zdawało. Zjawisko przewrotu aljansów, tak dobrze znane historykom dyplomacji, występuje tu w bardzo interesującej formie.

Ewolucja ta dojrzała w ciągu ostatnich paru lat. Moment wskazać trudno. Za chwilę, jeżeli nie przełomową, to w każdym razie bardzo ważną uznaćby można fakt ujawnienia t. zw. „planu naddunajskiego Tardieu". Plan ten miał znaczenie pierwszej próby rozwiązania kwesji naddunajskiej między mocarstwami na drodze kompromisu, a nie na drodze, wybranej niezależnie przez politykę francuską w uzgodnieniu z rządami bezpośrednio zainteresowanemi.

Jeżeli wychodzimy z założenia klasycznej hipotezy hegemonji francuskiej, wykonywanej nad Dunajem przez Małą Ententę z poparciem Polski, to wysunięcie planu Tardieu, który był poczęty bez udziału i bez porozumienia z temi państwami, było odchyleniem od tej polityki. Będąc jej gorącymi zwolennikami, właśnie dlatego plan Tardieu musieliśmy uznać za objaw negatywny. Pierwszą konsekwencją było rzucenie trwałego rozdźwięku między Francję a pomienione państwa; rozdźwięk ten od tego czasu rośnie bez przerwy, a w ślad za tem podąża nieuchronne osłabienie wpływów Francji w Małej Entencie, bardzo tylko słabo hamowane przez wpływy Wielkiego Wschodu w tych krajach.

Inne mocarstwa przyjęły ten krok, jako objaw słabości. Odtąd Rzym uznaje dolinę Dunaju za objekt już bezpośrednich swoich wpływów. Ocena jest słuszna, bo potwierdzona biegiem wypadków i stanowiskiem Paryża, który konsekwentnie prowadzi politykę porozumienia z Włochami. Ostatecznym wynikiem tej polityki jest Pakt Czterech, potomek w prostej linji planu Tardieu. Okoliczności powstania Paktu Czterech są to rzeczy niewątpliwe. Nie można ich dwojako tłumaczyć. Inicjatywa Mussoliniego, nadzwyczajna misja de Jouvenela; inne mocarstwa były tylko gośćmi zaproszonymi do Paktu, stworzonego przez Mussoliniego i Paul-Boncoura.

Stwierdziwszy to, postawmy sobie pytanie, jaka jest rzeczywista treść Paktu, innemi słowy jaka jest treść porozumienia francusko-włoskiego, którego Pakt jest wynikiem, w szczególności — na czem polegają ustępstwa francuskie.

Mogły tu wchodzić w grę: albo Śródziemnomorze, kwestje zbrojeń morskich, sprawy kolonjalne, albo też Europa Środkowa, dolina Dunaju. Objawów porozumienia co do tej pierwszej grupy niema, zato są wcale niezłe objawy porozumienia nad Dunajem. Bieg wypadków wykazuje trwałą, jak dotąd, intencję Francji liczenia się z interesem Włoch w tej części Europy, i to liczenia się bardzo poważnego. Jeżeli ta linja się ustali, będziemy świadkami bardzo efektownego przegrupowania aljansów, wynikającego z niezwykłego realizmu polityki francuskiej, która oczywiście eskontuje tu korzyści niewątpliwe: odciążenie odcinka niemieckiego, udaremnienie *Anschlussu*, przecięcie Niemcom ekspansji na południe.

Jest kwestją zapatrywania wartość ceny, którą się płaci. Pomimo wszelkich wykładni i wyjaśnień trudno niewidzieć i niedocenia tego, że jest to w gruncie rzeczy rewizja dotychczasowego stosunku do Małej Ententy.

W związku z tem pozostaje zaniepokojenie państw M. Ententy z powodu Paktu Czterech. Coprawda dzięki wpływom Wielkiego Wschodu (zwłaszcza w Czechosłowacji) protesty zostały szybko zahamowane i udało się skłonić M. Ententę do cze-

goś w rodzaju uznania Paktu, ale bezpośrednio potem przyszedł zaraz nowy Pakt M. Ententy. Otóż ten ostatni, jeżeli oceniamy go w perspektywie dotychczasowej polityki, idzie po linji francuskiej, ale pozwolimy sobie zaryzykować przypuszczenie, wbrew temu co ogłaszano, że niema ono nic wspólnego z akcją dyplomacji francuskiej, lecz że jest ono samorzutną reakcją państw Małej Ententy przeciw Paktowi Czterech, czyli przeciwko nowej polityce francusko-włoskiej, projektom *condominium* gospodarczego w dolinie Dunaju i t. p.

Co więcej, podobne jest znaczenie i Paktu Bałkańskiego. Jest on wyrazicielem chęci państw Europy Środkowej i Bałkanów unicestwienia zamachów na całość ich granic i na niezależność pod każdym względem. Jeżeli Turcja i Grecja przystąpiły do Paktu, któremu przyświecają zasady podobne do dyrektyw polityki M. Ententy, a tak jest zapewne, gdyż inaczej państwa M. Ententy nie mogły do niego przystąpić, to w dalszym rozwoju Pakt Bałkański może oznaczać rozciągnięcie się M. Ententy na południe. U podstaw jego bowiem można się dopatrzeć również zaniepokojenia państw śródziemnomorskich wobec groźby ekspansji włoskiej.

Użyliśmy słowa w „dalszym rozwoju" i „można", bo przyszłość Paktu Bałkańskiego może być różna, a zwłaszcza nie należy przeceniać jego wydajności. Trudnoby chyba przypuszczać interwencję zbrojną Turcji przeciw np. Węgrom w obronie granic Jugosławji. Słabszym jeszcze punktem jest Grecja, której polityka była dotąd bardzo chwiejna. Jedyny „czynnik stały" polityki greckiej, Venizelos wypowie się chyba przeciw Paktowi, a już po podpisaniu Paktu rząd obecny zdradzał zamiary ogłoszenia dodatkowego oświadczenia, ograniczającego poważnie zobowiązania Grecji, zwłaszcza jeżeli idzie o wystąpienia z bronią w ręku.

Tak czy inaczej to rozszerzenie M. Ententy może doprowadzić do jej rozluźnienia, a w każdym razie musi zmniejszyć znaczenie Czechosłowacji w jej łonie.

Przyszłość Paktu przedstawia się mglisto. Czynnikiem kapitalnym jest działanie kompromisu włosko-francuskiego. To jest klucz nowopowstających układów i tego, co z nich wyjdzie. A zarówno nowy Pakt M. Ententy, jak i Pakt Bałkański odpowiadają pewnej epoce przejściowej, której wyniki końcowe mogą się przedstawiać bardzo różnie. Tak jak dziś rzeczy stoją, inicjatywa należy do Włoch, które są panem sytuacji. Jeżeli linja kompromisu francuskiego będzie w dalszym ciągu jednakowo wydajna, gabinet włoski wychodząc z podstawy porozumienia włosko-węgiersko-austryjackiego może dojść do porozumienia z Małą Ententą, czy też z niektóremi Państwami Małej Ententy. Punktem szczytowym byłoby tu osiągnięcie porozumienia z Czechosłowacją. To ostatnie zależne jest oczywiście od tego, kiedy i w jakiej formie minister Benesz zdoła (czy już zdołał) zwekslować z Paryża na Rzym. Rozwiązanie to częściowo ocaliłoby interesy Czechosłowacji. Włochom dałoby klucz do zagadnienia doliny Dunaju, realizując ich dążenia do hegemonji „od Trjestu do Odessy". (Spodziewać się należy że w takim wypadku Arcyksiąże Otto byłby odrazu wycofany z obiegu). Trudność największa: utrzymanie wpływu w takim razie na Węgry i Austrję, dalej ryzyko zbyt wielkiego zaangażowania się przeciw Niemcom. Ograniczając się do koncepcji: Włochy-Austrja-Węgry, dyplomacja rzymska ma w odwodzie możliwość szukania sposobu współżycia z Niemcami na wypadek, gdyby kompromis francuski nie dał tej pewności.

A teraz rzecz najważniejsza, czem są te wypadki dla nas? Opinja polska przyjęła projekt Tardieu, Pakt czterech i t. p. jaknajgorzej. Miała słuszność. Nowo tworzący się układ sił jest konsekwencją obu tych aktów, jest ich realizacją. A i jeden i drugi zlekceważył interesy Polski, podobnie jak interesy państw Małej Ententy, z wielką łatwością.

Zdaniem naszem łańcuch ten nie ogranicza się tu do projektów Tardieu, to samo mieliśmy już z układami w Locarno z tą różnicą, że tam chodziło o nasze granice zachodnie i Pomorze. W układzie obecnym spraw nad Dunajem rząd nasz mógłby wystąpić w tej chwili chyba z projektem Bloku Rolnego, a jakieby to miało następstwa? Żadnych oczywiście. Inaczej było parę lat temu. To porównanie ilustruje nam bardzo dobrze, jak posunęły się wypadki. Jest oczywiste, że teraz wszystkie punkty zaczepienia dla naszej polityki nad Dunajem poważnie już osłabły.

Niemniej smutne jest dla nas nieuknione wzmocnienie się czynników, które zasadniczo zawsze będą nam wrogie, a z drugiej strony osłabienie sił, które są naszymi naturalnymi sprzymierzeńcami. Chodzi nam zwłaszcza o widoczną izolację Czechosłowacji. Perspektywa ta jest dlatego niebezpieczna, że grozi osłabieniem frontu antygermańskiego w Europie środkowej. Stanowisko nasze nie może tu nasuwać żadnych wątpliwości, a kto te wątpliwości ma, myli się i naraża nasze interesy na wielki uszczerbek. Niemcy są dla nas grozą bez względu na formę, w której się niebezpieczeństwo germańskie objawia. Czy ono będzie niebezpieczeństwem pruskiem nad Wisłą i Odrą, czy niebezpieczeństwem rakuskiem nad Dunajem — dla nas to jedno i tosamo. Z Czechosłowacją wiąże nas nakaz skupiania masy słowiańskiej, która rozciąga się między Bałtykiem a Dunajem; jest to wymaganie racji stanu samo w sobie, bez względu na takie czy inne zyski oceniane na krótką metę, jakiemi bywają często t. zw. sukcesy dyplomatyczne. Jeżeli chodzi o zachowanie obszaru posiadania tej masy, o jej konsolidację i rozwój czy to kosztem austrjackim, czy to pruskim, czy też kosztem madziaryzmu, nie może tu być dla nas ani chwili wątpliwości.

Tak samo musimy się zapatrywać na przesadne tendencje regjonalizmu w łonie Czechosłowacji; mamy na myśli regjonalizm słowacki (o tyle, o ile osłabia on całość i zwartość państwa Czechosłowackiego i stwarza w jego łonie zbyteczne zagadnienia wewnętrzne). W tem wszystkiem, podkreślmy, nie chodzi nam o interes Czechosłowacji, ale o nasz własny.

Kwestje te zasługują na uwagę, w opinji bowiem publicznej u nas widać oddawna wiele bałamuctwa. Nie mówimy naturalnie o pewnym odłamie publicystyki, która od lat robi wszystko co może, żeby nasze stosunki z Czechosłowacją psuć, gdzie się da, rozdymając niewielkie tarcia, o ile są, albo poszukując nowych. Pomyśleć, że są polskie dzienniki, którym musiano odebrać debit w Czechosłowacji. Tak się dzieje, pomimo że taka niecna akcja jest niezgodna nietylko z racją stanu, ale z elementarnym instynktem każdego Polaka.

Ustosunkowując się krytycznie do obecnego systemu, nie możemy jednak zamykać oczu na szereg sukcesów i niezwykle prawidłowych posunięć, jeżeli chodzi o politykę zagraniczną. Musimy to przyznać, ale są też w naszej polityce zagranicznej czynniki stałe, które się nie zmieniły, jeszcze od Enkaenu. Jeszcze w roku 1925 „Czas" krakowski rozdzierał szaty na samą myśl o porozumieniu z Sowietami, „ze względów zasadniczych", czy coś w tym rodzaju. Równocześnie wysuwano jakieś plany ni mniej, ni więcej jak unji personalnej Węgiersko-Rumuńskiej. Dziś oczywiście porozumienie z Niemcami otwiera wielkie możliwości i nadzieje; znów powstają szanse połączenia Węgier z Austrją, najlepiej pod berłem Ottona Habsburga. Nie mamy żadnej wątpliwości, że wpływy konserwatystów (czwartej brygady) od pierwszych dni niepodległości zaważyły potężnie na pierwszych krokach naszej polityki zagranicznej. Od najwcześniejszych też lat polityka nasza w Europie Środkowej i naddunajskiej szła po linji ich koncepcyj, a duch Enkaenu do dziś dnia pokutuje. Obóz pomajowy stamtąd też czerpie wiele inspiracyj w polityce zagranicznej, podobnie jak czerpał je i „przed majem". I to jest właśnie może jego największe nieszczęście. I wielkie dla nas wszystkich niebezpieczeństwo, z którego nie wszyscy zdają sobę sprawę, zwłaszcza w sferach miarodajnych.

WOJCIECH KORYBUT

AZJATYCKI FRONT ROSJI

MAMY WSZYSCY w pamięci znakomite rozdziały książki R. Dmowskiego „Świat powojenny i Polska", traktujące o konieczności dziejowej, zwracającej Rosję coraz wyraźniej frontem ku Azji. Sądzimy, że czytelników naszych zainteresują uwagi, które nasunęły się na ten temat pisarzowi francuskiemu po zwiedzeniu olbrzymich ośrodków przemysłowych, wznoszonych przez rząd sowiecki na Syberji, „znacznie bliżej Pekinu, niż Moskwy". Oto wyjątki z ostatnich rozdziałów książki P. Frédérix'a *„Machines en Asie"*, w których autor, na widok pamiątek z epoki encyklopedystów w muzeum Carskosielskiem, uświadamia sobie dzisiejszą metamorfozę Rosji.

Red.

„...Diderot u Wielkiej Katarzyny, to paryżanin w Azji: paryżanin, któremu polecono zabawiać Sułtankę nawet kosztem tyranów. W Carskiem Siole pokazują jego fotel. Katarzyna, z której rozkazu obcinano ludziom nosy, sprzedająca stadami pańszczyźnianych niewolników, miała ambicję tłumaczyć Marmontela, rozprawiać o mitologji, układać swe pamiętniki po francusku. Gdy jej amanci wybijali sobie oczy przy bilardzie, ta Niemka, dumna z Rosjan do tego stopnia, że uważała Klodwiga za słowianina, posyłała liściki do Laharpa, Buffona, Grimma, d'Alamberta, Falconeta, Lamotta. Jej rajfur Potemkin, cały w szmaragdach i bawolich skórach miał nawet własny dwór francuski. Wszystkie te elegancje były tylko dla St. Petersburga i tu, na kresach imperjum, przetrwały nieomal sto pięćdziesiąt lat. Potem przyszedł Lenin z komunistycznym manifestem w kieszeni, zajął mały pokoik w Smolnym Instytucie i od jednego zamachu rozproszył wszystkie te panienki z Saint-Cyr.

A za Lenina, kiedy przyszło do rządzenia, co się stało? W marcu 1918 Piotrogród jest zagrożony, rząd przenosi się do Moskwy. Czy wraca po klęsce białych? Ani mu się śni. Opowiadają, że w ostatnim roku Władimir Iljicz uciekł pewnego razu w delirjum z łóżka i znaleziono go potem w jednym z gmachów Kremla, siedzącego na tronie Iwana Groźnego. Ładny temat do legendy. A czy można go sobie wyobrazić w fotelu Diderota? Człowiek ten umiera. Balsamują go. Kanonizują. Umieszczają w centrum Rosji: na Krasnoj Płoszczadi. Kto będzie jego następcą? Trocki, czy Stalin? Oskarżają sie wzajemnie o zdradę prawdziwego ducha leninizmu, prawie taksamo, jak przed wojną Lenin i Plechanow oskarżali się wzajemnie o fałszywą interpretację marksizmu. Ale w gruncie rzeczy nie chodziło o Marksa. Chodziło o Rosję. Dyskusja nad tempem, w jakiem ma być przeprowadzona piatiletka, zakrywa wielką debatę, z której doniosłości Europa dopiero zaczyna zdawać sobie sprawę.

Trocki, podobnie jak większa część pierwszych wodzów bolszewizmu, musiał część swego życia spędzić w Paryżu, Londynie, Berlinie, Bernie; znał Europę, miał tę samą politykę i korzystał z tychsamych sił, co i wróg kapitalista. Doświadczenia takiego ani nie może, ani nie chce mieć Stalin, herszt bandy kaukaskiej, zesłaniec do Syberji wschodniej, skąd ruszy na podbój Moskwy, nie postawszy nigdy nogą poza granicami terytorjum rosyjskiego. Trocki jest żydem. Nigdy nie myślał o komunizmie inaczej, jak w postaci międzynarodowej. Stalin przeciwnie, zamierza zaprowadzić socjalizm w jednym tylko kraju, w swoim własnym. Nie boi się, lub też udaje, że nie boi się niczego więcej jak wojny; idzie w najbardziej oddalone stepy swego państwa, aby tam wykuć broń, bezpieczny od świata. To co Lenin zaczął, przenosząc urzędy bolszewickie do środka kraju, Stalin kończy, posuwając swe fabryki jeszcze dalej na Ural na Sybir, do Azji. Jeżeli ma się cierpieć, niech to będzie dla ideału, wypracowanego w Moskwie. To nie tylko Cyczerin, ex-sekretarz mieńszewickiego biura zagranicznego zniknął ze sceny i nie tylko Łunaczarski, bywalec paryski i berneński, którego dyletantyzm kiepsko się godził z logiką reżimu. To najbliżsi niegdyś współpracownicy Władimira Iljicza: Kamieniew, przyjaciel z Parc Montsouris, Zinowjew, towarzysz z Zakopanego, z pociągu opieczętowawanego, z Berna i z szopy na siano w Finlandji, zostają wykluczeni z partji niedługo po wygnaniu Trockiego. Patrzcie, jakie to są głowy w Moskwie od czasu Stalina: Mołotow, Kalinin, pochodzący z ludu rosyjskiego i bardzo dalecy wszelkiemu intelektualizmowi. Woroszyłow, następca Trockiego na czele armji, niecierpi żydów i fotografuje się chętnie jako socjalistyczny „*duce*" na swym pięknym karym koniu. Zachód? Żeby się dokład-

niej od niego uwolnić, władcy Kremla biorą teraz stamtąd już tylko maszyny. Lepiej: sami już je fabrykują. Głęboka fosa powstaje na zachodzie. Europa pogrąża się w niepewną mgłę, pozostawiając na wybrzeżu wyspy, na której 160 miljonów ludzi żyje w izolacji, jedynie zabawne resztki: przy ujściu Newy biust cara i w opuszczonym pałacu w Carskiem Siole, obok Katarzyny spożywającej indyka, pusty fotel encyklopedysty.

Oddzielcie od Z.Z.R.S kraje bałtyckie, Finlandję i parę jeszcze terytorjów, które zechcą się być może oswobodzić, nie pozostaje nic europejskiego w bloku rosyjskim: krew mongolska dominuje w nim. Niech się stanie co chce ze Słowianami, którym car patronował w XIX wieku, i z rządami zachodnimi, sprzymierzeńcami z XX-go. Wysiłki przesunięto z Londynu, jak i z Szanghaju nad Wołgę, do Turksibu. Pewnego pięknego dnia inteligencja i kapitaliści w Europie spostrzegą się, że podziwiali, lub walczyli z wiatrakami, podczas gdy prawdziwa Rosja tworzyła się w głębi stepu. Zrozumieją nareszcie: jedni, żeby już się nie bać, inni, żeby stracić nadzieję, to, co dojrzeli wiele przed nimi menerzy bolszewiccy: że komunizm chiński mógłby ostatecznie wzorować się na rosyjskim, nigdy nie może tego zrobić niemiecki, czy amerykański. Ujrzą wtedy znikającą w powietrzu, jak dekorację, tę „Międzynarodówkę" namalowaną w Moskwie w sto lat po tej z Ferney, z Sans-Souci, z Carskiego Sioła. A za nią ukaże się solidnie rozsiadły, potężny nacjonalizm, na wzór induskiego lub japońskiego, mniej rozdarty od pierwszego i obszerniejszy od drugiego. Nacjonalizm, stworzony dla azjatów przez rosjan, rozegzaltowany przez umartwienie, wbity w dumę przez największe w świecie turbiny i wielkie piece hutnicze, żywotne, czy nie, ale wzniesione przez mużyków, pchanych coraz dalej na Wschód, ku dawnym obozowiskom Złotej Ordy, z nad Dniepru nad Wołgę, z Wołgi na Ural, z Uralu nad brzegi Bajkału, do Irkucka, na granice Mongolji, pod wpływem tych nowych świętych, wczoraj jeszcze noszących bluzy robocze, a których mumje, przybrane przez przedsiębiorcę gotowej konfekcji, spoczną kiedyś w jakiejś trumnie z kryształu wgłębi Turkiestanu".

POLSKA WOBEC AKCJI UNICKIEJ

UPADEK CARATU, a przedewszystkiem fakt, że po tym upadku do władzy przyszli bolszewicy, ogromnie wzmocnił nadzieję, głęboko tkwiącą w każdem szczerem sercu katolickiem, że może teraz właśnie nadeszła chwila do usunięcia rozłamu, tylu już wiekowego, istniejącego między Kościołem katolickim a cerkwią prawosławną. Nadzieje te były i są w pełni uzasadnione. Sytuacja jest bowiem jasna. Z jednej strony widzimy Kościół katolicki, w całej potędze jego organizacji, w tylu zahartowanej burzach, zjednoczony mocno i twardo a radośnie przy swej widomej głowie, papieżu rzymskim, następcy i namiestniku Chrystusowym na ziemi — a z drugiej... Otóż właśnie: ta druga strona *de facto* nie istnieje, przynajmniej w tej chwili. Jakież więc, zdawałoby się, nadzwyczajne otwierają się możliwości, jakaż sposobność, na którą wieki czekać trzeba było, a jeżeli się jej nie wyzyska, zdawałoby się — znowu wieki czekać trzeba będzie.

Czyż można się zatem dziwić, że w takiej sytuacji serce każdego prawego katolika mocniej zabiło, wola sprężyła się do czynu, a myśl... Otóż tu głęboka nas musi ogarnąć troska: czy myśl ta wznosi się i wzniesie do wysokości sytuacji? Czy sytuacja ta nie olśni nas aż do zaślepienia? Wprawdzie o sprawie tej myślą tacy, którzy stoją wyżej, niż mogłyby sięgnąć obawy, a w dodatku akcję objęli OO. Jezuici, co również stanowi pewną gwarancję. Sprawa jednak jest zbyt wielka i święta, by dlatego wyzbyć się już wszelkiej o nią troski, a może nawet przestać się nią interesować. Bodaj że właśnie lepiej jest z całą ową gorącością serca i natężeniem woli, rozpatrywać ją jaknajwszechstronniej, jaknajgłębiej. Napewno będzie to z pożytkiem — byle tylko zainteresowanie to płynęło z pobudek szczerych. Może więc niezupełnie słusznie postępują ci, którzy z niejaką zgryźliwością piszą o innych, wyrażających — z przeważnie niedającą nawet się kwestjonować dobrą wolą — pewne zastrzeżenia, czy przestrogi. Np. że ci inni „chcą być bardziej katolickimi i łacińskimi i rzymskimi, niż sam papież". Nikt jeszcze nie otrzymał monopolu na miłość ku matce - Kościołowi rzymskiemu i przywiązanie ku Ojcu Świętemu, Namiestnikowi Chrystusa na ziemi. Jeśli więc ktoś, z powyższych pobudek, zabiera głos w sprawie zjednoczenia, to cieszyć się tem należy i ramiona ku niemu raczej wyciągać: „Bracie — powiedz nam, co myślisz, a najlepiej przyjdź i pomóż"! Kto inaczej postępuje, ten widocznie uważa, że jednak są w tej, tak przecież jasnej i świętej sprawie — a może tylko w realizacji wzniosłych i drogich haseł zjednoczenia? — takie rzeczy, które trzeba ukryć. Ale nie może być dwóch zdań, że ponieważ niema w sprawie samej nic do ukrycia, przeto ci, którzy mimo to chcieliby ukryć coś czy usunąć z katolickiej dyskusji, działają bodaj-że na szkodę sprawy, choćby dlatego, że wzniecają nieufność, a to przynajmniej odnośnie do podstaw, czy kierunków, czy metod realizacji.

* * *

W zeszycie I dwumiesięcznika *„Oriens"*, poświęconego sprawom religijnym Wschodu, a wydawanego przez Misję Wschodnią OO. Jezuitów w Polsce, w słowie wstępnem redakcji znajdujemy podkreśloną w sposób nader plastyczny ważność Polski dla sprawy unji, wynikającą z geograficznego położenia naszej ojczyzny. Położenie to istotnie stwarza dla Polski możliwość odegrania ważnej, nawet pierwszorzędnej roli. I rolę tę, za czasów niepodległości, Polska niewątpliwie w znacznej mierze odegrała.

W tem miejscu stwierdzić należy, że rolę tę odegrała w pełni świadomości, że misję swą dziejową nawet widziała poczęści w doprowadzeniu do unji. Uboczne ma tu znaczenie, że obok motywów religijnych wpływ swój wywarły zapewne — a nawet niewątpliwie — odnośnie do niektórych przynajmniej osobistości i grup całych — również względy państwowe. To bowiem nie umniejsza

w niczem znaczenia i wagi unji dla Kościoła, że była ona pożądana również z punktu widzenia innego, a w konsekwencji nie zmniejsza także w żadnej mierze zasługi Polski dla Kościoła. Na marginesie zaznaczyć można, że to pokrycie się interesów państwowych polskich z kościelnemi równocześnie jest przyczynkiem — jedną z wielu tak wymownych wskazówek dla tych, którzy *cout que cout* pragnęliby te dwa czynniki poróżnić, rozdzielić.

Ale jeżeli Polska zdawała sobie sprawę ze swej wagi dla dzieła unji, to w równej mierze, przez cały bodaj czas istnienia przedrozbiorowej Polski, widział to i Kościół. Chętnie też w tym okresie korzystał z usług instytucyj państwa polskiego, a w ten sposób sentyment, z którym naogół szczerze odnosił się Rzym do Polski, uzupełniony był nieprzeciętnie — ponadprzeciętnie — względami realnych usług, co, jak wiadomo, zawsze i wszędzie wpływa w pewnym stopniu na podniesienie temperatury uczuć wzajemnych.

Upadek, a przedewszystkiem rozdarcie Polski na trzy części; poprzedni stan rzeczy zmienił niezmiernie, niemal zasadniczo. Najpierw — zamiast j e d n e j organizacji państwowej, były teraz aż trzy, a jeśli wykluczymy nie wchodzące dla sprawy unji w rachubę Prusy — w każdym razie dwa państwa. Następnie — tylko jedno z nich było katolickie i to w owym okresie niezbyt przychylnie usposobione, podczas gdy drugie właśnie było prawosławne. Dalej — jak na złość owo prawosławne zagarnęło przeważną większość tej ludności, o którą w dziele unji szło (obok zresztą i poważnej liczby ludności katolickiej, obrządku zachodniego); zaś owo drugie, katolickie, państwo przy podziale łupu otrzymało tej ludności stosunkowo niewiele. Sytuacja więc uległa ogromnej zmianie, a powyższe już przykłady unaoczniają to wystarczająco.

Zmiany te dla dzieła unji były stanowczo niekorzystne. Żal Rzymu za Polską musiał być conajmniej równie głęboki, jak współczucie dla Polaków. Powstała konieczność wyszukania nowych metod, ba, — tyczenia nowych dróg, a może nawet zmiany podstaw samych... Trzeba było, nie schodząc z wyżyn w i e c z n e g o miasta i nie spuszczając z oka celów najwyższych, pokierować sprawą w należytym kierunku. Pierwszym nakazem był realizm — to jasne i niewątpliwe. I z nakazu tego napewno w całej pełni zdawała sobie sprawę dyplomacja watykańska, najznakomitsza na świecie, nietylko przepojona gorącą miłością dzieła Chrystusowego, ale nadto zbrojna dwudziestowiekowem doświadczeniem.

Ale realizm, już chociażby z przyczyn wyżej wymienionych, musiał prowadzić do mocno pesymistycznych narazie wniosków, np. do całkowitej niemal rezygnacji z użycia organizacji państwowej w pracach unijnych, a natomiast oparcia się na jakimś innym czynniku. Wykraczałoby poza ramy niniejszych uwag szczegółowe rozpatrywanie poszczególnych zagadnień. Zaznaczyć tu można chyba, że nawet katoliccy Habsburgowie nie chcieli, lub nie mogli, zająć się dziełem unji; faktem jest, że nie zajęli się. Pozostawało zatem owo szukanie innego czynnika.

W tem miejscu należy przypomnieć, że wiek XIX i XX aż do wojny to m. i. okres wzrostu potęgi Prus, który to okres najświetniejszego przedstawiciela znalazł, jak wiadomo, w Bismarku. Mógł też ten okres natchnąć ufnością w przyszłość Prus względnie później Niemiec oraz wiarą w powodzenie niemieckich planów i koncepcyj. Otóż imperjalizm niemiecki uznał za stosowne włączyć do swych planów forsowanie separatyzmu ukraińskiego. Pisały o tem tak świetne pióra, jak m. i. Dmowski, byłoby zatem stratą czasu zajmowanie się bliższe tą kwestją.

Nic zatem dziwnego poniekąd, że niektórym realnym politykom watykańskim w danej — pamiętajmy! — sytuacji mogło się wydać wskazane i pożyteczne, a może i konieczne, zapewnienie Kościołowi zawczasu odpowiedniego wpływu w tem przedsięwzięciu politycznem, no i przedewszystkiem uznanie separatyzmu ukraińskiego za ów poszukiwany czynnik, bodaj częściowo. Wprawdzie argumentów *„contra"* było dużo — wystarczy wspomnieć tu chociażby o tak poważnym, jak fakt, że przecież koncepcję ową forsował rząd protestancki, że nie zawahano się w pewnym momencie nawet przed *„Kulturkampf*'em". Cóż, kiedy raczej widziano ową sporą ilość katolików niemieckich, którzy w dodatku umieli zapewnić sobie odpowiedni wpływ w decydujących instytucjach czy sferach.

Tak więc oparto się na koncepcji niemieckiej. Dla trochę choćby objektywniejszych obserwatorów było to jasne, że realiści, którzy byli pod urokiem siły niemieckiej, poszli za koncepcją conajmniej niezbyt realną, opierając się na... przyszłości, Zapewne trzeba patrzeć nie pod nogi wyłącznie, ale i przed siebie, daleko. Tu jednak, przy całym pozornym realiźmie, było to stanowczo nieco zbyt — nazwijmy łagodnie — fantastyczne postanowienie. Nie da się zaprzeczyć, że były pewne momenty, usprawiedliwiające taką bujną fantazję. Obok bowiem owego pozornie realistycznego poglądu na siłę niemiecką, możnaby — znowu przykładowo — wymienić choćby taką „wiosnę ludów", która niejednemu realiście mogła w głowie szumieć, jak szampan i rozbujać wyobraźnię nieco nadmiernie. Kiedyż - bo prawdziwy realizm nakazuje odróżniać rzeczy istotne od nieistotnych — plany, oparte na podstawach solidnych, istotnych, pewnych — od innych, albo bez podstaw, albo opierających się na zbyt niepewnych, zbyt nieistotnych, zbyt może wyimaginowanych podstawach. Wielkie ideje mają jednak to w sobie, że często zaślepiają — może więc i tu możnaby znaleźć wytłumaczenie w tym fakcie. Zresztą, bez względu na przyczyny, czy argumenty uzasadniające, fakt pozostaje faktem: ułożono sobie *„totum orientem convertere"* już nietylko *„per vos Rutheni"*, ale wprost przez separatyzm ukraiński. Dowodów aż nadto — zwłaszcza okres lat kilkunastu przed wielką wojną dostarcza ich mnóstwo. Czyż opowiadać tu o zjazdach w Welehradzie? Czyż cytować głosy różnych takich działaczy, jak O. Palmieri, czy ksiądz Maks ks. Saski? Przecież gorliwość niektórych doprowadziła nawet do skandalów: Ks. Maks Saski musiał odwoływać swe wystąpienia, jako wprost heretyckie! Przełożony zaś opactwa OO. Bazyljanów w Grottaferrata, wydającego pismo *„Roma e l'Oriente"*, które w r. 1910 (w grudniu) zamieściło owe wywody ks. Maksa Saskiego, musiał się odrzec jego twierdzeń! A wszyscy ci działacze unijni przywiązywali wielką wagę do roli — jak się wówczas mówiło: greko-katolików, a jak się mówi dziś, poprawnie: unitów obrządku

bizantyjskiego (*v.* art. p. t. „Obrządki wschodnie w Kościele" w n-rze „*Oriensu*" za styczeń — luty).

Ale to działo się przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości — może ktoś powiedzieć; a jakże jest dziś? Dziś jest tak samo — jeśli nie jeszcze bardziej wyraźnie. By się o tem przekonać, wystarczy wziąć do rąk wspomniany numer „*Oriensu*": pomijając różne ciekawe informacje, przypatrzmy się tylko pierwszej odrazu ilustracji. Przedstawia ona J. E. ks. Biskupa Mikołaja Czarneckiego, wizytatora apostolskiego katolików obrz. wsch. w Polsce. Otóż ks. C. jest ukraińcem, Redemptorystą, z djecezji J. E. ks. metr. Szeptyckiego, który przecież wcale wyraźnie zaangażował się na rzecz ukrainizmu — może równie silnie, jak na rzecz unji. Rzecz przytem jest charakterystyczna, że owi przedwojenni apostołowie unji, o których wyżej była mowa, byli przyjaciółmi ks. metropolity S., drugim zaś momentem charakterystycznym jest fakt, że ksiądz Maks ks. Saski, który — jak wyżej — musiał odwoływać swe błędne twierdzenia, głosił takie np. tezy: „Dwie wielkie połowy świata chrześcijańskiego powinny zatem zgodnie wierzyć w tę samą naukę, jaką zgodnie przyjmowały przed rozłamem; wzajemny ich stosunek powinien być taki, jak w starożytności; późniejsze dogmaty winien Kościół zachodni odrzucić", A przecież po schyzmie ogłoszone zostały różne jeszcze dogmaty, a między niemi takie, jak np. o nieomylności papieża, stanowiące przecież podstawę jedności Kościoła rzymskiego. Nie można się oprzeć wrażeniu, że jednak zapał do unji, mającej się dokonać przez ukraińskich pupilów Niemiec, poniósł tych gorliwców cokolwiek zadaleko... tembardziej, że przecież ci gorliwcy nawet nie starali się znaleźć ewent. jakiej innej drogi. Była to więc gorliwość katolicka, wypływająca może z nastawienia niemieckiego, czy ukraińskiego. Nic też dziwnego, że musiała doprowadzić do pewnych nieporozumień z tymi, którzy są gospodarzami ziem, mających właśnie dla unji znaczenie główne, tu trzeba jednak zaznaczyć i podkreślić, że te nieporozumienia absolutnie nie odnoszą się do samej unji; pod tym względem niema tu żadnych zgoła nieporozumień. Polacy bowiem, jak dawniej, tak i dziś równie gorąco pragną, by dzieło unji — dzieło wielkie i święte dla każdego prawego katolika — zostało wreszcie po tylu staraniach i wysiłkach dokonane i mają również tyle gorliwości katolickiej, by z całą gotowością ofiarować swą współpracę. Że ta współpraca dla dzieła unji ma doniosłość wybitną — nie chcemy umyślnie mówić: zasadniczą — to wynika już chociażby np. z tych względów, o których tak pięknie pisał w cytowanym poprzednio artykule „*Oriens*". A że nie idzie tu o deklaracje tylko, przeto przejdźmy do rozpatrzenia sprawy *in concreto*.

* * *

Na wstępie do niniejszych uwag wspomnieliśmy ogólnie o nadziejach, jakie wiążemy, my, katolicy z obecną sytuacją odnośnie do dzieła unji. Rozpatrzmy nieco bliżej, czy rzeczywiście sytucja obecna uzasadnia owe wielkie nadzieje.

Kto czytał nieprzeciętnie doniosłe, rewelacyjne artykuły Dmowskiego o państwie stepu, temu, choćby nie znał szczególnie spraw naszego sąsiada od wschodu, jasnem się staje, że Rosja przedwojenna, musiała być tak zbudowana, jak była. Ten przedewszystkiem zrozumie rolę prawosławia w Rosji i jego stosunek do państwa, jak i rolę w prawosławiu wyznaczoną carowi. Jeśli była ona ogromna za czasów przedrozbiorowej Polski niepodległej, to po upadku Polski nabrała ona znaczenia — można to powiedzieć bez obawy przesady — jedynej i wyłącznej. Jasne jest, że w państwie stepu organizacja cerkwi musiała być taka, jaka była, ale równie jasne jest, że — gdy z jednej strony rola cara w prawosławiu była tak decydująca — to i *vice versa* z punktu widzenia interesów dynastycznych prawosławie takie, jak było, miało znaczenie wybitne. Bez niego caryzm poprostu nie byłby zupełny. Tak więc była tu niezwykła zgodność interesów — czy raczej może linji rozwoju dziejowego lub roli dziejowej — państwa stepu i dynastji. To nam tłumaczy fakt, że z chwilą upadku Polski, upadła również i sprawa unji, mimo, że poprzednie wysiłki, przedewszystkiem przez stronę polską podejmowane w różnych formach, doprowadziły poniekąd do ustalenia się poglądu, w każdym zaś razie temu poglądowi utorowały drogę, że niema zasadniczych jakichś dogmatycznych różnic między Kościołem rzymskim i jego prawosławną schyzmą. Trudność zaś stanowi tylko dogmat prymatu. Takie poglądy, niewątpliwie dzięki polskim usiłowaniom, są głoszone jeszcze w wieku XVII. Tak znakomity znawca zagadnienia unji, jak ks. Onoszko, pisze na str, 64 swej rozprawy dosłownie: „Niema, twierdził Mohiła, istotnej różnicy między Kościołem katolickim a cerkwią prawosławną" (wiersz 10 od góry). A dalej: „Jedyną trudność w sprawie unji właściwie stanowi tylko prymat biskupa rzymskiego" (w. 21 od góry[1]). Rzecz prosta, że trudność ta wzrosła z chwilą, gdy Piotr Wielki zreformował cerkiew prawosławną, poddając ją w zupełności już władzy carów, co zresztą było w państwie stepu naturalną konsekwencją rozwojową. W kilkadziesiąt zaś lat później przyszły rozbiory Polski. Cóż więc dziwnego, że z tą chwilą sprawa utknęła całkowicie, gdy te dwie najgłówniejsze przeszkody powstały? Dziś jednak carów już niema, a Polska powstała znowu do niepodległego bytu.

Ale to jeszcze nie wszystkie korzystne i szczęśliwe momenty. Niezmiernej w zasadzie doniosłości jest fakt, że właśnie bolszewicy objęli władzę — bolszewicy, którzy przecież są przeciwnikami wszelkiej religji, albo raczej pod tym względem obojętni. W każdym razie nie odznaczają się jakąś specjalną predylekcją do prawosławia. Nie wykluczne jest, że w pewnych momentach i pewne przyczyny nieistotne dla danej sprawy mogą spowodować udzielenie poparcia prawosławiu, ale może to być tylko chwilowe i zewnętrzne. Tak np. mógłby to spowodować imperjalizm bolszewicki. Przestałby jednak bolszewizm być sobą, gdyby w ten sposób odniósł się do prawosławia, jak caryzm. Mało zaś jest prawdopodobne, by bolszewicy uznali Kościół katolicki na terenie Rosji za groźniejszy dla siebie od cerkwi prawosławnej, przynajmniej w obecnem stadjum, które — o ile nie nastąpi porozumienie, („unja", od góry) — zapewne nie rychło ulegnie zasadniczym zmianom. Fakty zdają się na to wskazywać: bolszewicy odnoszą się niemal jednakowo do Kościoła katolic-

---

[1]) Onoszko ks. „Nauka Piotra Mohiły o kościele i jego hierarchji", Lwów, 1931.

kiego, jak do cerkwi prawosławnej, mimo, że przecież bardzo znaczny jej odłam uznał bolszewików.

I tu przechodzimy do dalszego momentu. Stanowisko prawosławia w Rosji nigdy nie było takie, jak katolicyzmu np. w Polsce, czy we Włoszech, czy gdzieindziej. Można tu zaryzykować uogólnienie, że stanowisko wogóle kościołów narodowych, narodowo-państwowych, jest inne, niż Kościoła katolickiego. Mogą tamte być — *sit venia verbo* — bardziej „bliskie" danemu społeczeństwu, natomiast Kościół katolicki ma bezwzględnie większą powagę. Jest tak nawet w zachodnich społeczeństwach, a cóż dopiero mówić o wschodzie. W Rosji pop bardzo niewiele tylko wyrastał ponad otoczenie. O tem i następstwach tego pisano tyle, że dalsze rozwodzenie się tu nad tą kwestją byłoby stratą czasu. To też w chwili przełomowej ogromnie to musiało zaciążyć. Tem zaś bardziej, że przecież ten pop sam był jaknajgruntowniej zdezorjentowany. Przecież na czele cerkwi prawosławnej stał car, on był jej głową i najwyższym zwierzchnikiem. Synod, jak wiadomo, odgrywał podrzędną rolę, i faktycznie i formalnie. Otóż biedny pop słusznie mógł stracić głowę na karku, jak ją stracił w swej cerkwi. Kto teraz był jego najwyższym zwierzchnikiem? Od kogo miał otrzymać wskazówki, któreby go obowiązywały? To też nastąpiło to, co musiało w tej sytuacji nastąpić: rozpad zupełny. Tem większy, że olbrzymia większość duchowieństwa nie dorosła do położenia: nie potrafiła spaść nagle ze stanowiska uprzywilejowanego do roli męczenników. Powstaje też odrazu mnóstwo sekt, nie mówiąc już o „cerkwi żywej". Odrobina zaś wyobraźni wystarczy, by uzmysłowić sobie, co działo się i dzieje z owieczkami cerkwi prawosławnej.

(Dok. nast.) ADAM ŚWIEŻAWSKI

Z PODRÓŻY DO WŁOCH

I. OD RYNKU DO FORUM

KRAKÓW ma dużo pamiątek włoskich. Padodovano zbudował mu Sukiennice, bracia della Lore wykuli w „polskim Rzymie" misterny krużganek wawelski, gdzie przed dziesięciu laty wystawiano z wielkiem powodzeniem starogrecką tragedję Jana Kochanowskiego, co „sobie śpiewał a Muzom", synem duchowym był Wergilego i Horacego, a wychowankiem wszechnicy padewskiej. Inny mistrz włoski, Bartolommeo Berrecci wzniósł mauzoleum dwom renesansowym książętom: Zygmuntowi I, „*Patri Patriae*", jak Kuźma medycejski i Zygmuntowi-Augustowi, imiennikowi rzymskiego Cezara, w którego żyłach płynęła gorąca krew włoska. Na Wawelu władała i sprzedawała urzędy królowa Bona, teraz przez historję rehabilitowana. Wreszcie w mizernej dość dzielnicy pod szumną nazwą „Warszawskiej" znajduje się dziś ulica o włoskiem brzmieniu: Montelupich. Nazwisko to jest nazwiskiem Włochów, zdaje się, Wenecjan, którzy nie kuli misternych form w kamieniach, ale byli twórcami bezpośredniej komunikacji pocztowej między Polską a Włochami.

Dziś, gdy się jedzie koleją przez obszar trzech republik i jednego królestwa, a co chwila medytacje nad pięknem natury przerywa podróżnemu banalny dworzec kolejowy, lub szary rząd wagonów z napisem raz „PKP", kiedyindziej „Oe. B. B." czy „F. S. *Italia*" z pewnem nabożeństwem myśli się o tych czasach, kiedy bracia Montelupi odbywali tę podróż pojazdem konnym przez okres conajmniej kilku tygodni.

Po polskich niwach i łąkach, po płaszczyźnie morawskiej przybyli nasi Włosi do Wiednia, gdzie nie rządził jeszcze p. Fey, pogromca socjalistów z domów Marxa, ale ten czy inny cesarz, co walczył z Turkami lub Szwedami. Książę Starhremberg był jednym z bohaterów odsieczy wiedeńskiej, a nie skromnym przywódcą „*Heimatschutzu*", książe Stahrhemberg, którego pomnik zdobi dziś kościół św. Szczepana. A jakże poetyczny musiał być taki nocleg na Semmeringu, 1000 m. nad poziomem morza, w specyficznej, górskiej atmosferze. Jeśli podróżni podróżowali latem, uśmiechały im się skąpane w promieniach słonecznych zamki Styrji i Karyntji. W jednym z nich średniowieczny Habsburg, Leopold, więził króla-trubadura Ryszarda „Lwie Serce". Reminiscencje zmurszałych i okrytych patyną wieku czasów, owego średniowiecza, raz po raz przeklinanego i rehabilitowanego, owianego legendą rycerskich romansów Walter Scotta. Włosi może zboczyli z właściwej drogi i zatrzymali się w jakiejś gospodzie u stóp „Gaisbergu" w sercu Solnogrodu. Albo przejazd przez Dolomity. Przygodnie spotkany w „rapide Varsovie-Katowice" znajomy opowiada mi o swoim przelocie z Wiednia do Wenecji. To także piękne: Dolomity widziane z wysokości tysiąca metrów nad poziomem morza.

Skończmy z poetyczną dygresją: Wiedeń... Rano na ulicach pustki: miasto pracuje, pracuje niewiadomo jeszcze dla kogo — Cesarza, Hitlera, czy dla ustroju korporacyjnego „małego kanclerza". Cesarza, w którym płynie krew dwóch przednich w Europie rodów monarszych, czy Hitlera, którego emisarjusz Habicht przemawia do narodu przez radjo? Co za nowoczesny sposób: wódz mówi przez radjo w okresie wojny, oby nie trzydziestoletniej, pomiędzy „*nazi*" a republikanami i komunistami. Wallenstein i de Tilly zgoła nie mówili przez radjo. O śmierci Gustawa-Adolfa nie dowiedział się spokojny Paryżanin czy Rzymianin tak prędko, jak o śmierci króla Alberta przeciętny Warszawianin, któremu radjo udzieliło tej wiadomości w przerwie po audycji z płyt gramofonowych. Gdyby istniało radjo, może potomek Gustawa-Adolfa, Karol XII wyszedłby cało z opresji połtawskiej.

Popołudniu popijam czarną kawę *echt* wiedeńską w jednej z miejscowych kawiarni. Wiedeńczycy spokojnie grają w bilard. Tragiczne „ostatki" krwawej rozprawy pomiędzy Dollfussem i „Schutzbundem" zapomniane. Wiedeń oddycha spokojnie. W „*Fernsprecherze*" ulicznym rysuje się profil przystojnej Wiedenki, która umawia się na „*rendez-vous*". Czarna kawa... Nowość niegdyś, zdobyta na Turkach. Niegdyś nektar, godny bogów olimpijskich, dziś, jak wszystko, mająca swoje „*ersatze*":

namiastki i mieszanki. *Timeo Danaos et dona ferentes.* Myśmy im nieśli ogniem i mieczem „cywilizację", oni uczyli nas przyprawiać lżejszą i mocniejszą truciznę. Papierosy też zapanowały w Europie dzięki jakimś zakazanym tubylcom, których dziś już, zdaje się, wcale niema. Osławionej masonerji nauczyli nas także ludzie Wschodu, jak niesie fama — za pośrednictwem Templarjuszów. Ach, gdyby nie ci Templarjusze, skazani na stos przez Filipa „*le bel*" względnie „*le Faux-monayeur*", o ileż mniej sosu miałaby dziś aktualna afera Stawiskiego.

Jednodniowy tylko pobyt w Wiedniu nie pozwala nam na zwiedzenie niedawnych punktów strategicznych: Simmeringu czy Florisdorfu, splamionych krwią bratnią w połowie lutego b.r. Nazwy te czytaliśmy w raportach prasy codziennej w samą środę popielcową, niby rozmyślania wielkopostne, które miały nas uświadomić, że „*homo homini lupus*", starodawnej, gorzkiej nauczyć prawdy.

Jedziemy dalej. O świcie jesteśmy w Tarvisio. *Dogana* (komora celna) włoska. Stoimy w sercu Dolomitów. Odtąd będziemy jechali szlakiem frontu włoskiego. Za godzinę Udine, za dwie mistyczna nawpół dzisiaj rzeka Piave, o której naród włoski ułożył najpiękniejszą może ze swoich „*canzon*" wojennych.

Front włoski, na którym w szeregach c. k. armji walczyli, liczni niegdyś Polacy. Walczyli wbrew uczuciom! z przymusu, bo nie „o naszą i o waszą wolność"! Był to jeden z ostatnich etapów tragicznej doli narodu polskiego. Z jeńców, wziętych przez armję włoską, powstał następnie osobny legjon.

W Mestre przesiadamy się do wagonu rzymskiego: jestto — o ironjo! — wagon polski. W przedziale jedzie kilku Włochów ze zdobytych w czasie wojny prowincji (Venezia Giulia, Trentino, enklawa Zary. Jeden z tych Włochów, śniady brunet o niebieskich oczach — dowiedziawszy się, że jestem Polakiem — pyta, co w Polsce słychać nowego?

— *Abbiamo cambiato il statuto* (Zmieniliśmy konstytucję).

— *Oh, oggi dappertutto si fa lo stesso* (Wszędzie robi się dziś to samo).

Włochom tym nie obce jest trudne do wymówienia dla nich nazwisko gen. Chrzanowskiego, pokonanego przez Austryjaków pod Novarą, a jednego z najlepszych wodzów powstania listopadowego. Wiedzą też o Radzyminie, polskim, Vittorio-Veneto. We Florencji wsiada do przedziału „*notable*" miejscowy — z miny „*un signore*" — jak mówią Włosi. Zapoznaję go na mapie ściennej, użyczonej nam łaskawie przez zacne Ministerstwo Komunikacji, z geografją polityczną i gospodarczą państwa polskiego. W trakcie rozmowy zaskoczony jestem krzyżowem pytaniem. „Czy marszałek Piłsudski jest przyjacielem Mussoliniego". Ale najwięcej rozgwaru wnoszą do przedziału dwaj kolejarze, którzy ładują się na jednej z ostatnich stacji: Chiusi, Orvieto czy Orte.

Rozmowy te popija się winem, winem, kupionem na efektownym dworcu bolońskim. Jest ono obliczone na zmęczenie turystów, moc ma lemoniady, a przytem jest nieco za cierpkie. W każdym razie daleko mu do legendarnego „Est-Est-Est".

Po słonecznem popołudniu, przed samym już Rzymem, skrapia nas ożywczy, wieczorny deszczyk. Wogóle w Italji panuje teraz pora deszczowa. To jedno truć nam będzie stale arcyprzyjemny zresztą pobyt w „wiecznem mieście".

Ale oto i Rzym: w powodzi świateł wita nas dworzec „Termini". Po trudach podróży czas spocząć pod troskliwą opieką starożytnych Larów i Penatów.

II „WIELKI TYDZIEŃ" W RZYMIE

Jesteśmy w Rzymie w pełni „Wielkiego Tygodnia". Uwaga całego miasta koncentruje się dookoła wspaniałych uroczystości kościelnych, organizowanych tu z całą „*maestrją*" wielowiekowej tradycji. Punktem kulminacyjnym nabożeństw i procesji jest niedzielna msza w kościele św. Piotra, związana z kanonizacją błog. Jana Bosco i poniedziałkowe zamknięcie „Bramy Swiętej".

Nadzwyczajne „*Anno-Santo*" postanowione bullą papieską z okazji 1000-cznej rocznicy Odkupienia świata ma się ku końcowi. To też wielkie bazyliki przepełnione są tłumami pielgrzymów, śpieszących tu z najdalszych okolic świata katolickiego celem uzyskania „odpustu zupełnego". Dziś, w Wielki Czwartek, „*high-life*" i elita rzymska zbierają się w majestatycznej Bazylice św. Piotra, gdzie członkowie najszlachetniejszych rodów z t. zw., „czarnej arystokracji" wartują podczas natchnionych popołudniowych misterjów. Jutro, w W. Piątek, w „Santa Croce di Gerusalemme" solenne nabożeństwo w Rocznicę Męki Pańskiej. Wielkosobotnie proroctwa zanucą pięknie mnisi od św. Anzelma na Awentynie. Przestaną rozbrzmiewać wtedy grzechotki, a przez Rzym pójdzie czysta kryształowa melodja rozlicznych dzwonów.

„I dzwonią im dzwony we wszystkich kościołach..."

Dzwonią w parafjach rzymskich, z których każda prawie ma za protektora kardynała-kapłana, czy kardynała-djakona. Dzwonią zwłaszcza w najważniejszym momencie uroczystości kanonizacyjnych. W poniedziałek Wielki zbiera się na Kapitolu Rada Ministrów Imperjum włoskiego z Duce na czele i odda hołd wywyższonemu na ołtarze Salezjaninowi. Na uroczystości ku czci patrona swojego Zakonu przybędzie z nad Warty — Kardynał Prymas polski, który wyglądem swoim pasuje znakomicie do grona prałatów rzymskich, z najwyższej włoskiej pochodzących niejednokrotnie arystokracji.

W Wielki Czwartek, „*Giovedi Santo*" cały Rzym spotyka się na „Grobach". Panie z elity kwestują przed drzwiami kościołów. Jeden wąż ludzki wchodzi, a drugi wychodzi z zacisznych, mistycznych świątyń, gdzie w głębi ciemnej wnęki palą się światłem słabem lampy przed grobem Chrystusa. Niestety, nie widziałem pięknego i oryginalnego „grobu" w miejscowym rzymsko-katolickim kościele rosyjskim. Jest on — jak mi mówiono — w ujęciu swojem bardzo słowiański: powiew od stepów i śniegów wśród kamieni „*Forum*" i baroku rzymskiego — to istotnie coś bardzo oryginalnego.

W niektórych kościołach w Wielki Czwartek odbywają się uroczyste „ciemne jutrznie". Nazwa polska, trochę zanadto archaiczna, jak wogóle polski słownik kościelny, nie oddaje tak dobrze nastroju tego nabożeństwa, jak np. łacińskie „*Tenebra*" (ciemności). Jakaż skala rozpiętości dzieli te zawodzenia kapłanów, śpiewających psalmy

Jeremjasza (Jeremjady), przy akompanjamencie akustycznym — stuku ksiąg o pulpity i optycznym — gaszenia świec, od poniedziałkowych uroczystości zamknięcia „Bramy świętej“ w kościele św. Piotra. Naprzód, sam kościół, pod względem sztuki szczyt twórczości architektonicznej późnego Renesansu, arcydzieło Bramantego, jest wielkiem cackiem, ale mało ma w sobie z nastrojów świątyni. Przejścia, którędy mają przenieść Ojca św. na *Sedia gestatoria* strzeże szpaler żołnierzy papieskich pod bronią. Przy dźwiękach mało zresztą melodyjnego marsza watykańskiego zjawia się dostojny orszak: „*guardia nobile*“ (straż szlachecka) w hełmach, kardynałowie i biskupi w białych infułach, bajkowo kolorowa gwardja szwajcarska. Z trybun i miejsc stojących oczy zwracają się ku „*sedii*“. Rozlegają się okrzyki: „*Evviva*“ i oklaski. Lud wita nietylko namiestnika Chrystusowego, ale niewątpliwie w tych owacjach przebijają stare, zapomniane tradycje „*Pontificis Maximi*“ Arcykapłana-Cezara. Takie same owacje, jakie gotowano wtedy wjeżdżającemu przez „*via Sacra*“ na Kapitol Augustowi, Germanikowi czy Aureljanowi gotuje dziś krzykliwy naród najwyższemu patrjarsze kościoła apostolskiego i doczesnemu władcy „*Citta del Vaticano*“. Oklaski te ponawiają się, skoro Papież, dokonawszy zamknięcia „Bramy świętej“ wraca tą samą drogą. Są może jeszcze bardziej frenetyczne. Jakiś Włoch tłumaczy cudzoziemskiemu księdzu z wielkim ferworem, że błogosławieństwo papieskie w tej chwili starczy za jubileusz. Tłum krzyczy i bije brawo, a Ojciec św. niesiony na „*sedii*“ w tjarze i złotym płaszczu, błogosławi z uśmiechem dobroci na ustach zgromadzonej owczarni.

Przypatrywałem się bliżej w Rzymie kilku wybitnym kardynałom i *monsignorom*. Na szczególne przyjrzenie się mu zasługuje Kardynał-Sekretarz Stanu. Piękna twarz: mędrca i ascety, cera śniada, oblicze pociągłe. Kardynał Pacelli był Nuncjuszem w Berlinie, zanim przejął z rąk kard. Gasparrego ważkie dla polityki kościelnej stanowisko Sekretarza Stanu. Jego dziełem jest konkordat, zawarty z Adolfem Hitlerem. Niekiedy historja jest estradą, na której rozgrywają się paradoksalne sceny. Dwa lata temu przedstawiano w Polsce wodza niemieckich „narodowych socjalistów“ jako zaciętego polakożercę, wszyscy życzyli zwycięstwa Hindenburgowi, chrześcijański demokrata Bruening miał po swej stronie sympatje nietylko katolików polskich. Dziś mamy za sobą pakt o nieagresji i umowę gospodarczą z Niemcami. Ktoś może przypomnieć słynne powiedzenie o „świstku papieru“, którym Bethman-Hollweg tak skompromitował był stary reżym cesarsko-niemiecki, kiedy Anglja zapytała go, jakiem prawem łamie zagwarantowaną traktatami neutralność Belgji. Racja, ale w takim razie — dlaczego tyle zachwytów nad pacyfikacją w stosunkach z Sowietami! Tosamo z Watykanem. Zimą b. r. byłem w Warszawie na odczycie pewnego wybitnego publicysty katolickiego, który darł szaty nad bluźnierstwami i niewiarą oraz prześladowczemi tendencjami hitlerowców. Przed Hitlerem Niemcy miały czterech kanclerzów centrowych. Dlaczego żaden z nich nie miał męskiej decyzji na zawarcie konkordatu z Rzymem?

Drugi z prałatów watykańskich, zasługujących niewątpliwie na uwagę, to Mgr. Pizzardo. Dawny substytut watykańskiego MSZ-tu (sekretarjat stanu), delegowany do najdrażliwszych misji dyplomatycznych, jeden z twórców porozumienia między Stolicą Apostolską a Włochami — dziś pełni funkcje sekretarza „kongregacji dla nadzwyczajnych spraw kościelnych“. Fizycznie stanowi antytezę Pacellego: względnie młody, silny, przystojny brunet o oliwkowej cerze.

Widziałem także starszego od obydwu kard. Bisletiego, „Wielkiego Jałmużnika Zakonu Malty“. Bo właśnie na krótko przed naszym pobytem bawili w Rzymie bracia tej konfraternji rycerskiej, wywodzącej się od Joannitów, a obdarzonej prawami suwerennego państwa. W „*Illustrazione italiana*“ oglądaliśmy portrety dostojników zakonnych. Wielkim mistrzem jest piękny, arystokratyczny starzec z siwą brodą, ks. Ludovico Chigi-della Rovere-Albani. Co za mozajka nazwisk, fakt we Włoszech częsty z powodu licznych adopcji i małżeństw z ostatniemi żeńskiemi latoroślami rodu. W nazwisku ks. Chigi-della Rovere-Albani ileż się mieści pontyfikatów i glorij kościelnych z wielkim Juljuszem II na czele, który był jednym z prekursorów imperjalizmu włoskiego.

Z. M.

OFIARA W AULIDZIE

(PRZEKŁAD Z LUKRECJUSZA)

Illud in his rebus vereor, ne forte rearis.....
(Lucr. Cari „De rer. nat.“, ex lib. I).

Lecz się obawiam, byś czasem mi nie zarzucił, jakobym
Szkoły bezbożnej podwoje otwarł, wiodące ku zbrodni.
Wierzaj mi, raczej zabobon często, zbyt często, przyczyną
Bywał uczynków zbrodniczych. Wszakże to sami wyborni,
Pierwsi na świecie panowie, byli mężowie ci greccy,
Którzy splamili aulidzki ołtarz Dziewicy z Księżycem
Krwią Ifigenji.

Ofiarna chusta wokoło jej włosów
Zwisa ponuro po obu bokach dziewiczej twarzyczki
Córy książęcej. I oto ojciec już stanął złowrogo,
I oto już zbliża się z boku rzezak, co w fałdach swej szaty
Straszne ukrywa żelazo. Oto już łkaniem zajęczał
Lud zgromadzony dokoła. Zgroza oniemia dziewczynę,
Ona się tem wszystkiem, wkońcu straszliwem błaganiem
Żali się, żali niemocna, klęcząc pokornie na ziemi.
Na cóż w tej chwili brzemiennej, na cóż się zdadzą królewnie
Błogie te dzionki dziecięce, kiedy to władcę rodzica
Ta pierworodna dziecina mianem ojczulka wołała?....
Wtem, nieprzystępni litości, kroczą już, kroczą kapłani,
Drżącą unoszą dzieweczkę, wloką na święte ołtarze.
Ej, nie weselny to orszak, nie hymenejskie obrzędy!....
Wiodą ją, wiodą li poto, aby pod ciosem ojcowskim
Dech swój oddała tą dobą, kiedy już właśnie mężowi
Miano oddawać tę czystą, niepokalaną dzieweczkę.
Wszystko zaś przez to się stało, aby się podróż darzyła
Greckim okrętom.

Do takich zdolne są zbrodni przesądy.

(1919). (Przekład K. L. K.).

NA WIDOWNI

Jak sobie myśl masońska dworuje z myśli narodowej. — O kulturze twórczości i parcelowaniu człowieka. — Kultura to człowiek. — Tyle warta twórczość — ile warta kultura człowieka.

PEWIEN tygodnik literacki, bardzo zamożny, bo subsydjowany („szanuj grosz publiczny"), tak sobie dworuje z naszej skromnej „Myśli Narodowej":

— „Tygodnik poświęcony kulturze twórczości polskiej"! Co za szumny i mętnie zredagowany podtytuł, nieodpowiadający zawartości pisma. Bo czemże ono się zajmuje? Oto (w nr. 17) pisze o faszyzmie Mosley'a, o dziełach Maurras'a, o bezrobociu, o „Kuźni" Legjonu Młodych, o masonerji. „Kultury twórczości polskiej ani śladu".

Zwłaszcza ma nam za złe, że zamiast zajmować się kulturą „tracimy czas i pieniądze na rozpamiętywanie hierarchji masońskiej".

Co do tych pieniędzy na usprawiedliwienie powiem, że rozpamiętywanie nie jest zbyt kosztowne, a jeśli chodzi o masonerję, to ono więcej pożytku przynosi kulturze, niż głębokie rozważania z powodu, dajmy na to, jakiejś głupiej powieści wyuzdanej żydówki.

Weźmy dla przykładu choćby ten masoński pogląd na twórczość, narzucony postępowym literatom. Usiłują oni, jak widzimy, ośmieszyć tych, którzy twórczość danego środowiska traktują jako jedną całość organiczną. Według nich „twórczością" są powieści, utwory sceniczne, wiersze, obrazy, symfonje; ma ta twórczość jakieś osobne źródło poza życiem rzeczywistem i należy do specjalnego świata — świata fikcji. Oczywiście poglądu takiego niepodobna uzasadnić ani psychologicznie, ani socjologicznie, ani historycznie, więc narzuca się go w drodze faktu (choćby w postaci mnożących się organów „literackich") na to, by bezwstydnie odwracać tę zaprzeczoną zasadę jedności i za pomocą literatury wywierać wpływ na życie, właśnie na to życie, nie mające jakoby nic wspólnego ze sztuką: zwyczajne oszustwo.

Z drugiej strony, ci sami ludzie, ograniczający pojęcie twórczości do świata sztuki, kiedy im to na rękę, wszelką robotę państwowo-polityczną, czy gospodarczą — nazywają twórczością, nawet radosną twórczością. I tej twórczości nie stawiają żadnych ograniczeń; należą do niej nawozy sztuczne, koleje, banki, nawet samorządy są teraz dziełem twórczości państwowej, nawet życie towarzyskie (jak resursy), prawo, obyczaje, oświata, szkoły, nauka, ale — co nas bliżej tutaj obchodzi — wszelka dziedzina sztuki, nawet myśli literackiej.

Publicysta z państwowego organu literatury udaje, że o tej możliwości łączenia różnych dziedzin twórczości nic nie wie i nie rzuci w tę stronę pytania: co to wszystko ma wspólnego z literaturą? Z całą natomiast naiwnością analfabety wydziwia:

— Cóż to za upadek literatury! Taka „Myśl Narodowa" w podtytule wypisuje „kulturę twórczości polskiej", a w tekście rozstrząsa idee społeczne, prądy światowe, zajmuje się stanem społeczeństwa...

Twórczość jest jedna, bo jeden jest człowiek na wszystko. Ale między tą jednością organiczną, jaką reprezentuje myśl nacjonalistyczna, a jednością mechanistyczną, dokonywaną przez ludzi, chwytających nici wpływów na życie społeczeństwa, jest ta różnica, że my jedni, traktujący rzecz ze stanowiska psychologji narodu tworzącego, — mamy prawo i możność mówienia o „kulturze" twórczości.

— — — — — — — — — — — —

W r. 1925, przystępując do wydawania „Myśli Narodowej", jako organu tej kultury, pisaliśmy w zapowiedzi:

„Brak pisma tego typu w obozie narodowym dotkliwie odczuwać się dawał. W Polsce odrodzonej praca na polu kultury narazie ustąpić musiała najpilniejszym zabiegom koło regulowania łożyska życia państwowego. Z niepokojem śledziliśmy, że jednocześnie czynniki, wrogie rozwojowi Polski w duchu narodowym, cały swój zasób sił literackich, wolny od zajęć destrukcyjnych w polityce, administracji kraju i gospodarstwie, rzuciły na szańce życia duchowego, aby rozbić poczucie osobowości narodu. Sądzimy, że przyszedł czas, kiedy można już pomyśleć o prawidłowej obronie i tych dziedzin zagrożonej cywilizacji.

„Życia narodu nie wyczerpuje twórczość państwowa; zakres gospodarki sił narodowych przekracza również granice potrzeb materjalnych; najogólniejszem pojęciem tej gospodarki jest cywilizacja, jako pojęcie, obejmujące całokształt twórczości narodowej ze sprawami ducha na czele. Zadaniem naszego pisma będzie urabiać ten kąt widzenia, że życie narodu cywilizowanego stanowi jedną całość organiczną, uzależnioną w rozkwicie od stopnia kultury duchowej. Jeden jest duch — jedna twórczość w różnych postaciach. Obejmować przeto będziemy wszystkie dziedziny pracy polskiej (polityczną, gospodarczą, wychowawczą, naukową, literacką, artystyczną), szukając dla nich wytycznej myśli twórczej, znajdującej oddźwięk w głębiach instynktu historycznego, coraz bardziej celowej i — jako świadomość dziejowa — potęgującej indywidualność narodu.

„Uznając doniosłe znaczenie literatury i sztuki w tak pojętym procesie uświadomień, bliscy jesteśmy Maurycemu Mochnackiemu, który w literaturze widział „bezpośredni związek z cywilizacją i duchem narodu". Pod hasłami tego znakomitego krytyka z przed stu lat pragnęlibyśmy skupić koło pisma talenty pisarskie i krytyków. A pisarz ten, uznający, literaturę za wyraz, refleksję i sumienie narodu, za punkt wyjścia brał zasadę: „Wszelki lud rodowity, historyczny, w historję świata zachodzący, jest jak roślina — z nasion na ojczystym rozkwita gruncie". Tej prawdy żadna nie zachwieje doktryna, obowiązuje ona wszelką twórczość poszczególe i w całości. Twórczość przecząca tej zasadzie zaprzecza siebie, nie może bowiem być twórcze to, co nie jest swoiste".

— — — — — — — — — — — —

Czasy w Polsce odrodzonej, zwłaszcza pomajowej są legendarne, poczynające wszystko od nowa, od kamienia łupanego; może dlatego poszukują one światła między znawcami prehistorji. Są to czasy genjuszów, którzy wszystko potrafią, byle im sprzyjały nadprzyrodzone siły sanacyjne. Kultura według tych pojęć prymitywnych — to osobny byt. Słyszy się o niej tyle, że istnieje na zachodzie, trzeba ją zrobić i w Polsce. Więc podział pracy: wy będziecie robić historję, wy — ustrój i t. d., a my będziemy robili kulturę. I to potra-

fimy, mając do pomocy żydów, no i stosunki ze światem przez masonerję. Będzie to kultura pierwszej klasy według najświeższego modelu: trochę bolszewicka, trochę bojowa, trochę pacyfistyczna, wolnomyślna, podkasana. Przystawi się tę kulturę z literaturą do natury i procedury spraw praktycznych — a całość sama się złoży. Któż nas odróżni od Europy?.

Z tego stanowiska niewątpliwie trudno zrozumieć, dlaczego „Myśl Narodowa" (w owym 17 numerze) zagląda do „Kuźni młodych" organu Przedniej Straży i zastanawia się, czy dobrze jest dla kultury dusz polskich, gdy referent konkursu młodzieży na 10 słów najpiękniejszych ubolewa, iż 89 proc. polskich dzieci wymieniło na pierwszem miejscu takie utarte i puste słowa, jak: Ojczyzna, Polska, Matka. Konkurs zawiódł — powiada. Albo gdy „Kuźnia" w myśl zasad wychowania państwowego poucza o niewiarogodnem bohaterstwie pod Bezdanami: „Tylko tym bohaterom możemy powierzyć śmiało losy naszego Państwa".

Co to ma wspólnego z kulturą twórczości? — wykrzykuje publicysta polski z r. 1934. Co ma wspólnego z twórczością referowanie idej, jakie dla odrodzenia duchowego swych narodów szerzy w Anglji Mosley, a we Francji Maurras? Co ma wspólnego z twórczością „Na widowni" Wasilewskiego, gdzie mowa o nagonce masonerji na Sienkiewicza? I t. d. A naszem zdaniem wszystko to się wiąże z twórczością, zwłaszcza literacką. Sienkiewicz chyba był twórcą, ale teraz młodzież, która w 89% na pierwszem miejscu stawia słowo Ojczyzna, nie będzie go już czytywała, bo trzeba, aby „ten wytarty" wyraz zanikł przynajmniej do 11%. Sienkiewicz był bliski zasad odrodzenia duchowego Mosley'a i Maurras'a, a p. Górka, użyty do nagonki dla swego węchu kulturalnego, obecnie, za swoje zasługi, profesor uniwersytetu, jest też pisarzem, znanym owemu organowi „twórczości", bo w nim właśnie na Sienkiewicza ujadał.

Wszystko to się wiąże. Zdaniem bowiem naszem, kultura nie jest czemś zewnętrznem poza człowiekiem. Praca kulturalna ma na celu organizowanie duszy w człowieku. Kultura mierzy się stopniem tego zorganizowania, mającego na celu ogarnięcie całości życia duchowego w człowieku tak, aby mógł całą pełnię swych zdolności duchowych oddać na usługi twórczości. Kultury niema poza człowiekiem; poza nim jest tylko cywilizacja, którą tworzy i za którą jest odpowiedzialny. Poczucie tej odpowiedzialności jest zasadniczym wymiarem kultury.

Kultura — to człowiek; cywilizacja zaś danego narodu — to naród. Człowiek tworzy lub niszczy cywilizację swego narodu według miary (dodatniej lub odjemnej) swej kultury, Kultura, obowiązująca człowieka, żeby była twórcza, musi odpowiadać objektywnym potrzebom odziedziczonej przez niego cywilizacji. Prawo to należy do elementarnych zagadnień świata przez ludzi tworzonego. Uwarstwienia cywilizacji są różnego wieku, więc wszyscy ludzie mają w niej swe miejsce, ale właściwy człowiek musi być na właściwem miejscu. Ktoś z niską kulturą nie może bez protestu ludzi, ceniących swoją cywilizację, wywracać cywilizacji tylko dlatego, aby ją uprzystępnić swemu wzrostowi. Teraz to się odbywa, a jest to łapczywość na owoce, połączona z łamaniem całych gałęzi.

Mówiąc o kulturze, mówimy o człowieku, o stanie jego u p r a w y duchowej, o jego dojrzałości — do zadań cywilizacyjnych. Rozkrój człowieka, jak drzewo, a poznasz po kręgach słojów jego kulturę: czy zdrowa, czy też spróchniała, czy odpowiada dojrzałością o b j e k t y w n y m danym cywilizacji. Dusza człowieka ze swoim stanem kultury jest subjektywnym czynnikiem twórczości cywilizacyjnej. W tej duszy jest źródło poczynań twórczych na wszystkich polach cywilizacji. Jest rzeczą jej skłonności i przypadku, co tworzy, ale ta dusza jest jedna na wszystko. Dlatego wszystko się wiąże psychicznie w twórczości, ale zarazem i objektywnie, bo niechże kto wskaże cywilizację tworzoną, której wartość nie polegałaby na tem, że wszystko w niej trzyma się organicznie całości.

— — — — — — — — — — — —

Niema prawa mówić o kulturze, kto traktuje twórczość mechanicznie i nie zagląda do duszy człowieka. Każda specjalność wymaga odpowiedniej kultury specjalnej, która jest i umiejętnością i tresurą, ale poza specjalnościami jest stopa kultury ogólnej, charakteryzująca człowieka i jego cywilizację, jest to ów styl, o którym się mówi: „styl — to człowiek". Styl, po którym się rozpoznaje na rzut oka stopę życia narodów. Jeżeli jaka specjalność domaga się od człowieka tej ogólnej kultury, historycznie wytworzonej — to twórczość duchowa w literaturze. Tutaj obowiązuje całkowite zorganizowanie natchnień z mądrością i odpowiedzialnością za styl cywilizacji. Tymczasem ta wasza literatura, która z niczem się nie wiąże... Lepiej jednak odłożyć tę literaturę na później, bo niema już ani czasu, ani miejsca.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

POLSKA W WALCE O BYT musiała wreszcie zająć się na serjo sprawą żydowską. Tętno życia narodowego tak lekceważąco jest traktowane przez „Elitę", zasłuchaną w siebie, zapatrzoną w swoje interesy, że fakt ten stał się niespodzianką. Gdyby Sanacja przeczuwała coś podobnego, zapewne nie szukałaby w takiej chwili oparcia w żydach przeciwko prądowi społeczeństwa polskiego. Obecnie położenie obojga—i Sanacji i żydostwa stało się niezwykle ciężkie. Spostrzegli to pierwsi żydzi. Oto „Hajnt" (z 16.V) tak pisze:

— „Nietylko my, Żydzi, jesteśmy przerażeni wielką siłą, którą rozporządza skrajny polski nacjonalizm, uzewnętrzniony tak nagle przed naszemi oczyma i wywołujący niepokój o nasz dzień jutrzejszy. Również władze bezpieczeństwa najlepiej mogące orjentować się w faktycznym układzie czynnych sił politycznych w społeczeństwie, po przeciwżydowskich rozruchach dowiedziały się dopiero, że w Białymstoku np. istnieje taki liczny ruch młodzieży narodowo-radykalnej".

— „Ta zaraza przecież przekroczyła daleko granice endecji. Ona opanowała zjednoczoną partję chłopską. Sanacja niema najmniejszej chęci rozpoczynać wojny domowej przeciw judofobji. Lęka się ona skompromitowania sympatjami do żydostwa i ten fakt nie jest trudny do zrozumienia".

Żydzi podszczuwają Sanację do walki z narodem polskim:

— „Czynniki miarodajne zdają sobie sprawę że dalszy wzrost nastrojów przeciwżydowskich, dyskontowanych politycznie przez endecję, może w końcu doprowadzić do tego, że nastroje szerokich mas przechylą się na stronę endecji, a to grozi trwałości obecnego regime'u".

WALKA OPINJI PUBLICZNEJ z „Tajnym Detektywem", wychowującym zbrodniarzy, toczy się od pierwszej niemal chwili powstania jego. Niżej podpisany alarmował opinję już na podstawie pierwszych trzech czy czterech numerów w lecie w 1931 r. w „Szczerbcu". Od tego czasu ukazało się wiele innych artykułów i notatek, zarówno w tem piśmie jak i wielu innych; publicyści wszystkich obozów, zjazdy rozmaite odzywają się z ostrzeżeniem. Ale przedewszystkiem rozprawy sądowe i śledztwa policyjne stwierdzają to, co u samego początku kampanji prasowej przepowiadało się, że mianowicie „Tajny Detektyw" jest pismem wychowującem zbrodniarzy. Wykolejeniec Malisz przyznał, że na „Tajnym Detektywie" oparł swój plan zbrodniczy. Ostatnio z powodu nowej zbrodni w Krakowie popełnionej przez inteligentów. „Głos Narodu" w 2 artykułach (ks. dr. Piwowarczyka i M. M., 24 i 26 maja) ponownie w stanowczy sposób wystąpił z postulatem walki stanowczej z propagandą zbrodni, jaką szerzy „Tajny Detektyw". Chciałbym skonkretyzować jakiś sposób tej walki, bo oburzenie samo nie wystarczy.

Najprostszym sposobem byłoby niszczenie „Tajnego Detektywa" przez konfiskaty. Ale na to nie mamy wpływu... Drugim sposobem byłoby wyobcowanie towarzyskie i społeczne Marjana Dąbrowskiego. W sferach jednak, w których Marjan Dąbrowski kwitnie i prosperuje my pisarze niezależni nie mamy znaczenia. Sposób taki, jak niszczenie i darcie pisma jest trudny do przeprowadzenia — a zajścia na tem tle mogłyby być użyte na reklamę.

Słowem, rzecz, o ile władze państwowe nie zainteresują się, nie jest łatwą do przeprowadzenia — notabene *rebus sic stantibus!*...

A jednak rezygnować nie można z odporu. Na opinję publiczną Marjan Dąbrowski pluje. Trzeba więc szukać paljatywów. W braku wielkiej akcji zdobyć się na małą choćby akcję. Otóż to jest możliwe.

Marjan Dąbrowski osobiście wychowania do zbrodni nie uprawia. Ma swoich współpracowników, którym za tę robotę płaci. Jeśli więc trudno na razie jego samego ugodzić, to trzeba spróbować ugodzić w jego podwładnych: Zrobić z nimi to, coby się zrobiło z nim samym: Wyobcować ich towarzysko i społecznie.

Wobec tego niżej podpisany zapowiada, że do Zarządu Związku Zawodowego Pracy Polskiej w Krakowie wniesie rezolucję, ażeby, jeśli się tacy w Związku znajdą, na których jest podejrzenie, że współpracują w „Tajnym Detektywie" zostali ze Związku wyrzuceni, i żeby to zostało opublikowane w pismach literackich. Nie ulega wątpliwości, że Zarząd Związku przychyli się do tego wniosku, gdyż raz już próbowano tego.

Niechaj inni obmyślają i podają inne sposoby.

Byłoby pożądanem, ażeby pisma bez różnicy politycznej to przedrukowały.

Raz trzeba wziąć się do rzeczy, a nie tylko narzekać. To za mało. K. L. KONIŃSKI

Do numeru niniejszego dołączamy dla dogodności prenumeratorów blankiet przekazowy na P. K. O. nr. 3.105

NAUKA i LITERATURA

ZE STUDJÓW NAD ŚREDNIOWIECZEM

1. KS. PUCIATA O ANZELMIE Z CANTERBURY

ŚW. ANZELM KANTUAREŃSKI (1033—1109) jest największym filozofem i teologiem XI wieku. Powszechnie wiadome jest jego znaczenie w historji filozofji. Natomiast osobom, interesującym się filozofją, zwykle mniej znane są zasługi „pierwszego scholastyka" na polu teologji. Wielkie jego stanowisko w historji dogmatów katolickich polega nietylko na tem, że opracował nową teorję, dotyczącą dogmatu Odkupienia, lecz także w tem, co jest mniej znane i podkreślane przez autorów o nim traktujących, iż *Doctor Magnificus* w dziele *„De conceptu Virginali et originali peccato"* znacznie rozwinął dział teologji, dotyczący zagadnienia grzechu pierworodnego. Bardzo sumienna i erudycyjna praca, poświęcona tej kwestji, ks. Puciaty (ks. Dr. Leon Puciata: „Grzech pierworodny w teologji Św. Anzelma". Studja teologiczne I. Wilno, 1932. str. 240), pomimo swego ściśle teologicznego charakteru, może zainteresować także historyka filozofji, ponieważ porusza pewne punkty filozofji św. Anzelma i daje możność lepszego jej zrozumienia.

Autor po omówieniu wszystkich dogmatycznych orzeczeń i teoryj teologicznych przed i poanzelmowskich, dotyczących grzechu pierworodnego, wykłada bardzo obszernie teorję św. Anzelma i wpływ jaki ta wywarła na późniejszą teologję. Z zagadnień filozoficznych porusza się w książce sprawa t. z. *„rationum necessarium"*, realizmu anzelmowskiego, wolności woli i sprawiedliwości, tego pojęcia tak ważnego dla zrozumienia psychologji i etyki filozofa z Aosty. W kwestji spornej u komentatorów, czy *Doctor Magnificus* był kreacjonistą, czy traducjonistą, co do poglądu na pochodzenie duszy, Autor wypowiada się stanowczo za pierwszem przypuszczeniem.

Książka ks. Puciaty jest poważnym dorobkiem naukowym. Posuwa ona badania anzelmowskie w niejednym punkcie. Polska literatura filozoficzna i teologiczna poza paru drobnymi przyczynkami nie posiada wcale monograficznego opracowania całokształtu działalności św. Anzelma. Dobrze więc byłoby, gdyby Sz. Autor, który, jak widać z jego pracy, zbadał i przestudjował gruntownie całą anzelmowską literaturę tak teraźniejszą, jak i dawniejszą, dał jej w przyszłości taką monografję, np. w rodzaju francuskiej Domet de Verges'a.

2. O. KOSTECKI O ALBERCIE WIELKIM

OSOBA ŚW. ALBERTA WIELKIEGO, jednego z największych przedstawicieli nauki i myśli średniowiecznej, wzbudza coraz większe zainteresowanie. Badania, dotyczące jego osoby, pism i stanowiska, jakie zajmuje w dziejach nauk przyrodniczych, w filozofji i teologji, zaczęto prowadzić systematycznie już od końca XIX wieku. Kanonizacja 16.XII 1931 r. i jednoczesne ogłoszenie Doktorem Kościoła, dały nowy impuls tym studjom. Ukazał się w ostatnich czasach w różnych językach (głównie po niemiecku i po francusku) cały szereg jego biografij i prac mu poświęconych. Zakon zaś Dominikanów zapowiedział wydanie kompletnego i krytycznego zbioru jego pism. Polska literatura albertyńska jest dotychczas niezmiernie uboga. Nie posiadamy wcale jakiejkolwiek monografji lub rozprawy naukowej, traktującej specjalnie o nim. Nie było także do niedawna nawet popularnego życiorysu. Kim był *„Doctor Universalis"*, polska publiczność mogła się dowiedzieć najwyżej z ogólnych podręczników historji filozofji. Obecnie zapobiega temu brakowi wydana ostatnio książka O. K. Kosteckiego O. P. (O. Dr. Romuald Kostecki, dominikanin: *„Św. Albert*

Wielki". Wyznawca, biskup i Doktór Kościoła. Lwów. Wydawnictwo O. O. Dominikanów, 1934. str. 178 + XII).

Jest-to praca przeznaczona dla inteligencji. Autor zwięźle naszkicował ciekawe życie św. Alberta (ur. w r. 1193 lub 1206, um. w r. 1280, należał do rodu hr. Bollstaedt), rolę, jaką odegrał w historji kościoła (był prowincjałem dominikańskim, biskupem Ratysbony i legatem papieskim na Niemcy), i zasługi naukowe, jako jednego z „największych przyrodników średniowiecza i jako tego, który pierwszy wprowadził do filozofji scholastycznej arystotelizm; krótko też omówił jego znaczenie w dziejach teologji. Stosunkowi Alberta do jego największego ucznia i przyjaciela św. Tomasza z Akwinu jest poświęcony osobny rozdział. Książkę zamyka charakterystyka ogólna niezwykłej postaci doctora universalis i zarys jego pośmiertnego kultu, uwieńczonego niedawną kanonizacją.

Praca O. Kosteckiego jest napisana łatwo i przystępnie. Szkoda tylko, iż Autor nie podmalował szerzej tła historycznego i kulturalnego czasów ś. Alberta. Czytelnikowi mniej zaznajomionemu z dziejami tej epoki może stałoby się bardziej zrozumiałe, co się mu zawdzięcza, i uwypukliłaby się wyraźniej jego osoba. Pomimo tego ten życiorys, aczkolwiek nie zawierający samodzielnych studjów i nie dający nowych przyczynków naukowych, informuje doskonale i może się przydać nawet zawodowym badaczom średniowiecza i historykom filozofji, choćby dzięki umieszczonemu na końcu wykazowi wszystkich dzieł św. Alberta i obfitej bibljografji.

LAMBDA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Historyk ziemi bracławskiej i dziśnieńskiej, Otton Hedemann, wydał książkę „Dawne puszcze i wody", (Wilno 1934. Skład główny w księgarni św. Wojciecha). W książce tej autor przedstawia dzieje przemysłu i handlu drzewnego na ogólnym tle historji leśnictwa tych ziem.

Jeszcze w czasie, gdy na Polesiu pracowała finansowana przez rząd rosyjski „Zachodnia ekspedycja dla osuszania błot", nawiasem mówiąc, pod kierunkiem i przy udziale wyłącznie Polaków, autor interesował się zagadnieniami leśnej przyrody. A obecnie, od wielu lat, poświęca się badaniom materjałów archiwalnych, z dziedziny obyczajowości dawnych na tych ziemiach pokoleń. W rozdziałach, Puszcze, Handel drzewny, Łowy i Bartnictwo — odtwarza stan dawnej flory i fauny, oraz ich eksploatacji stan osadnictwa w minionych wiekach, i warunki hydrograficzne Wileńszczyzny, która będąc objęta od północy, zachodu i południa klamrami Dźwiny i Niemna, wysyła ku tym rzekom liczne dopływy. Rzeki i jeziora były „oknami puszczy". Dla osadnika puszcza była wrogiem, który go przytłaczał i dusił w swych ramionach, więc osadnicy zwalczali puszczę siekierą i ogniem, poczem miejsca pogorzeli przeorywali i zasiewali zbożem. W ciągu minionych stuleci, a nawet jeszcze po wielkiej wojnie, obszary walk pozycyjnych rosyjsko-niemieckich, porzucone przez właścicieli, szybko zarastały lasem. Jednak stale niszczyły i ogołacały puszcze tranzakcje sprzedaży na cele budownictwa, okrętów na maszty, kolei żelaznych na podkłady, przemysłu chemicznego, papierniczego, zapałczanego i t. d...

Już w pierwszej połowie XIV wieku spławiano drzewo z Polski, głównie z Litwy i Rusi, do Gdańska, a stamtąd do Flandrji i Anglji, Zygmunt August zawarł umowę na eksploatację z puszcz, ciążących ku Dźwinie i portowi ryskiemu. Później król ten zamierzał zaprowadzić monopol handlu drzewem. Handel powodował specjalizowanie drzewa, cechowanie, cła, formuły prawne do zabezpieczenia swobody handlu, eksportu i rozstrzygania sporów. Zmiany oblicza puszcz ilustruje autor cytatami kontraktów i procesów, uchwałami Komisji rozjemczych, zarządzeniami władz, a to na podstawie mnogich materjałów archiwalnych łacińskich, polskich, rosyjskich i rusińskich. Wylicza z imienia i nazwiska właścicieli puszcz, leśników i brakarzów, kupców i urzędników, którzy w tych, zdaje się nigdy niekończących się, sporach o granice, o towar, zwyczajowe i państwowe prawa wyrobu i spławu, brali udział.

Barwnie, z talentem pisarskim, przedstawia okoliczności, towarzyszące sprawom, dotyczące handlu drzewem, łowiectwa i bartnictwa. Daje ciekawe pełne ruchu, obrazki obyczajowości epok minionych i ukazuje żywy związek narodu między dawnymi a nowymi laty. (A. W.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

Z WYSTAW, urządzonych w ostatnim miesiącu w Warszawie, najpoważniejsza była — Michałowskiego, zorganizowana przez Instytut Prop. Sztuki. Zdołano zebrać 100 dzieł artysty, powstałych w latach 1823—1855, to znaczy, poczynając od utworów młodzieńca paroletniego, aż do prac przedśmiertnych. Są między niemi obrazy olejne (około 40-stu), tyleż miejwięcej akwarel, na resztę składają się rysunki i szkice sepją oraz kilka prac, gdzie te obie techniki użyte są razem.

Jak podaje katalog: „chronologiczny układ obrazów oparty jest wyłącznie na analizie stylu", stąd też obok pozycyj niezbitych znajdą się tam zapewne i określenia dat conajmniej chwiejne, domniemane, które dalsze badania potwierdzą, lub obalą.

Michałowski Piotr, syn Józefa i Tekli z Morsztynów, urodził się, jak pisze p. Helena d'Abancourt, stosownie do oświadczenia córki artysty, w roku 1801-ym (inni twierdzą, że w 1800-nym). Żył, pracował i tworzył na przestrzeni całej pierwszej połowy XIX stulecia. W czasach, gdy klasycyzm musiał ustąpić placu romantyzmowi. Klasykiem nie był, bliższy romantyzmowi, wyprzedził go jednak i może być słusznie uważany za odległego zwiastuna impresjonizmu. (Nie bez kozery przecież zachwycał się Velasquezem). Umysł wybitny, natura żywotna, zainteresowania miał rozliczne i na wielu odznaczył się polach. Jako malarz, winien być zaliczony do najznakomitszych artystów polskich, nielicznych, którzy uszli daleko poza swą epokę i dziś są powszechniej rozumiani, niż za życia.

Michałowski, pochodząc ze starej, o pięknych tradycjach, rodziny Jasieńczyków, wychowanie otrzymał staranne, wzrósł w atmosferze patrjotycznej domu polskiego. Podróżował dużo; natura chłonna, o żywych odczuciach, korzystał wiele w zetknięciu z kulturą Zachodu. Był w Wiedniu, w Dreźnie i Lipsku, we Włoszech i Szwajcarji, we Francji, w Paryżu, gdzie studjował dłużej, potem w Amsterdamie i tu poznał szkołę holenderską.

W nauce i rozwoju artystycznym było mu pomocą malarstwo Géricaulta, Velasqueza i Holendrów. Z tej racji, gdy dziś współczesne pokolenie rozumie i ocenia w pełni sztukę Michałowskiego, niektórzy krytycy, z dziwną jakąś skwapliwością, najchętniej piszą o wpływach. Tu pragnę zwrócić uwagę na zjawisko, które stale można obserwować. Nasi krytycy sztuk plastycznych, żydzi, jeśli chodzi o sztukę współczesną, najgorliwiej popierają i reklamują wszystko, co pachnie stylem międzynarodowym, to przedewszystkiem, co jest narodowo odbarwione. Jeśli chodzi zaś o przeszłość, postępują zupełnie odwrotnie: najchętniej dobierają się do postaci specjalnie drogich sercu polskiemu. Pani Zachorska pisze o Matejce, p. Sterling o Michałowskim (pozatem w wolnych chwilach on się zachwyca Fra Angelico). Jest w tem myśl taktyczna wcale niegłupia: jeśli już przeszłości nie można przekreślić (jak się wykreśla z pola widzenia niemiłych współczesnych), to niech przynajmniej Polacy oglądają ją przez nasze okulary.

Monografję o Michałowskim opracowywała od dłuższego czasu pani Helena d'Abancourt. Zwy-

czajem, niepraktykowanym dotąd w świecie uczonych, temat, znajdujący się na warsztacie u kogo innego, podjął dr. Sterling[1]). Zrobił to zapewne tem chętniej, że p. d'Abancourt, nie umniejszając bynajmniej znaczenia, jakie miał dla sztuki Michałowskiego kontakt z malarstwem Zachodu, wielki nacisk kładzie na wykazanie odrębnych cech jego indywidualności i uwidocznienie znamion narodowych jego malarstwa.

Pomijając już środowisko, z którego wyszedł artysta i atmosferę domu rodzinnego, szczerze polską, Michałowski, jako malarz, zbyt dobrze wiedział, czego chciał i ku czemu dążył, by, zaskoczony widokiem cudzego talentu, mógł zboczyć za nim z drogi przez siebie obranej. Obserwując jego prace, od najwcześniejszych, np. akwarelowego portretu Ks. Konstantego, widzimy, jak stale i świadomie zmierza ku temu, by pełnię kształtu, wraz z jego barwą, wyrazić skrótem (nie pobieżnością!) jaknajbardziej zwartym i syntetycznym. Gdy zobaczył u kogoś rozwiązanie zadania, które mogło mu w jego dążeniach być pomocnem, korzystał z cudzego doświadczenia, sam je eksploatował; to nie znaczy jednak, by się komuś poddawał. Najlepiej wyjaśnia to sam artysta. Pani d'Abancourt przytacza wyjątki z jego listów. Z Wiednia pisze: „Godzina przebyta w podziwianiu dwóch portretów Van Dycka, a zwłaszcza widok nieporównanego portretu Velasqueza oświeciły (podkr. moje) mnie w stosunku wielu trudności". O obrazach Holendra Pottera: „znalazłem rozwiązanie prawie wszystkich trudności... tej się odtąd będę trzymał wskazówki". Wskazówka to jeszcze nie wzór.

Laikom wczesne obrazy Michałowskiego wydadzą się najwięcej opracowane, ostatnie — najbardziej szkicowe; tymczasem te ostatnie właśnie są najbardziej malarsko przemyślane, a więc, jako dzieła — skończone i dojrzałe.

Pani d'Abancourt podaje fakty, świadczące o wpływie Michałowskiego na artystów obcych. Naśladowano go, nawet robiono plagjaty. Uczono się u niego, przyznaje się do tego znana malarka francuska, Rosa Bonheur. Nauczyciel Michałowskiego, Charlet, kopjował jego konie do swoich obrazów. A wam się wydaje, że tylko my możemy kogoś naśladować, a nas nikt. Cóż to za dziwna psychoza jakaś!

WIKTOR PODOSKI

P. S. Zajęty wzmożoną pracą nauczycielską (gorący czas egzaminów), spóźniłem się z szeregiem recenzyj z ostatnich wystaw. Przepraszam za to czytelników i w następnym numerze obiecuję wyrównanie zaległości (Jasiński i Wąsowicz).

W. P.

[1]) Sterling korzystał z zarysu monograficznego pani H. d'Abancourt, ogłoszonego w Sztukach Pięknych („rok 1931, sierpień—wrzesień"), powtarza wiele jej poglądów, mimo to nie przytoczył pracy p. d'Abancourt nawet w bibljografji, chociaż podaje tam dzieła nawet w rękopisie, b. luźno związane z Michałowskim, np. Sienkiewicza studjum o Brodowskim.

BŁĘDY DRUKU. W artykule prof. S. Cywińskiego p. t. „S. Pigoń o Panu Tadeuszu" w n-rze 21 „Myśli Narodowej" w szpalcie I w w. 6 ma być: „nie tylko tego, co autor tworzył, ale więcej tem..." (a nie: tego).

W nr. 22 w artykule Simplexa „Przestępstwo Samuraja" str. 326 szp. II wiersz 14 od dołu powinno być „życie stadne" (nie „ślubne"), w w. 9 winno być: moralność „najtrudniejsza" (nie najsłuszniejsza).

LIST DO REDAKCJI

PASORZYT NA ZAIMKU

Od jakiegoś czasu, pośród wielu wstrętnych błędów językowych, co się mnożą jak chwasty, rozpanoszył się szczególnie jeden. Oto przykład:

„Następną część deklaracji minister Barthou poświęcił jego podróży do Pragi".

Czyjej podróży? A może swojej podróży?! Tak. Dlaczego więc pisze Pan tak, jakby minister Barthou, mówił o podróży kogoś innego, a nie o swojej własnej?!

Lecz oto inny. Nie wiem, czy słusznie, ale odczuwam tę formę jako żargonowo-żydowski nabytek polszczyzny. Przykład tym razem z antysemickiego dziennika krakowskiego: Zdarzyło się we Francji, przed dwoma zdaje się laty, że dwie służące zamordowały panią i pannę; policja na doniesienie kogoś z domowników, wkroczyła do domu; sprawca zbrodni nie był wiadomy; podejrzenie jednak padło na owe służące; szukano ich — i cóż się okazało: „Zabójczynie pani i panny X zabarykadowały się w ich pokoju"... W czyim? W pokoju zamordowanych — razem z trupami? Ależ w takim, razie jak policja mogła obejrzeć zwłoki, jak mogła mieć wątpliwość, kto jest zabójcą? Bo też, morderczynie zabarykadowały się nie w ich (t. j. ofiar) pokoju, tylko swoim pokoju!

Kto ma cierpliwość, ten może uzbierać sobie z doniesień i artykułów dziennikarskich piękną kolekcję tego pasorzyta, który zjada zaimek swój, swoją, swoje. Czasem znajduję go nawet u pisarzy poważnych. Jest czas o krzywdę tego zaimka upomnieć się i pasorzyta tępić.

Komu potrzeba regułki, a nie wystarcza mu samo czucie językowe i zmysł sensu, ten niech zajrzy do książki H. Gaertnera i A. Passendorfera (Książnica Atlas, 1933 „Poradnik Gramatyczny", a tam znajdzie na str. 183: „Jeżeli stosunek dzierżawczy odnosi się do przedmiotu zdania, to używa się w formie swój bez względu na osobę i liczbę". (Byłaby ta książka jeszcze pożyteczniejsza, gdyby autorowie byli podpatrzyli więcej błędów językowych, ażeby podać formy poprawne. Np. nie znajduję słowa koleżeński — ażeby je przeciwstawić temu wstrętnemu, *echt* galicyjskiemu: Koleżański)! K.

NOWE KSIĄŻKI

Dmowski Roman. Przewrót. Warsz. 1934. Gazeta Warsz. (Zgoda 5). Str. XII i 494.

Historja sztuki. Tom I:

1) Żurowski Józef. Sztuka przedhistoryczna Europy.

2) Gąsiorowski Jan St. Sztuka starożytna. Lwów 1934. Ossolineum. Str. IX i 440. Z ilustr.

Körmendi Franc. Przygoda w Budapeszcie. Warsz. 1934. Powieść. Geb. i Wolff.

Aricha Józef. Chleb i objawienie. Przekład z hebrajskiego. Warsz. 1934. Wydawn. Nowoczesne.

Gąsiorowski Wacław. Orlęta. Wybór powieści Napoleońskich. Wyd. II. Warsz. 1934. Dom Książki Pol.

Alberti Kazimiera. Ci, którzy przyjdą. Warsz. 1934. Dom Książki Pol.

Polska i świat współczesny. Bibljoteka młodzieży. Nr. 9 — 20. Gebethner i Wolff.

Wisłocki Sas Juljusz. Akademicki kodeks honorowy. Warsz. 1934. S. 108.

Spór polsko-czechosłowacki. Praga 1934. Komitet polsko-czech. porozumienia prasowego. S. 24.

Borowski Józef. Gdynia, port Rzplitej. Toruń 1904. Instytut Bałtycki. S. 60. Z ilustr.

Leitgeber Bolesław. Kopenhaga, klucz Bałtyku. Toruń 1934. Instytut Bałtycki. S. 87.

Świeżawski Ludwik. Miasto bez ojczyzny. Warsz. 1934. Wyd. Młodej Prozy. (Powiastka).

Śliwiński F. Zasady nowego ustroju szkolnictwa polskiego. Warsz. Książnica Atlas.

Świerzowicz Jan. Dwa szkice literackie. (Hebbel, Maeterlincz). Trzemeszno 1933. Str. 14.

Muzyka Polska. Kwartalnik. Zesz. 2. Warsz. 1934. (Św. Krzyska 16).

Hajewicz. Kuźnia Młodych. Warsz. 1934. Odbitka z „Myśli Narodowej". S. 28.

Katalog wydawnictw Kasy im. Mianowskiego oraz wyd. będących w zawiadywaniu Kasy. 1934.

Życzyński Henryk. Mickiewicz w Odessie. Lublin 1934. S. 16.

OFENSYWA

PROPAGANDA BASTARDYZMU

O TEJ KSIĄŻCE winni w pierwszym rzędzie zabrać głos uczeni specjaliści, a więc prof. Czekanowski, Stołyhwo, Studencki, a nie odrazu wszyscy żydzi piszący i ich klientela i służba. Obstalowano tłomaczenie w galopującym tempie u tego Hulki, który z idealisty powoli zmienia się w pospolitego geszefciarza i konjunkturalnego „vielschreibera". Obstalowała żydowska firma anonymowa pod maską „Dzwon" (sic). Sypnęła oczywiście sporo i zorganizowała odrazu doskonałą reklamę. Nim jeszcze dzieło wyszło, już w „Naszym Przeglądzie" szedł taki reklamiarski „*Wink von Oben*".

Ukazanie się na łamach prasy literackiej wzmianki o przygotowaniu polskiego przekładu znanego dzieła Ernesta Kretschmera p. t. „*Geniale Menschen*" jest zdarzeniem przekraczającem granice ewenementu ściśle naukowego czy literackiego. Książka Kretschmera, profesora uniwersytetu w Marburgu, aryjczyka, którego „czystość rasowa" przez nikogo nie została poddana w wątpliwość, w chwili obecnej posiada specjalną wartość propagandową — jest jednym z najcelniejszych pocisków, wymierzonych przez objektywną naukę w wielką górę demagogicznych haseł, które pod płaszczykiem pseudo-naukowych teoryj weszły do programu partji Hitlera, mając rzekomo wzmocnić ideologiczny gmach narodowego socjalizmu w Niemczech.

W tym sensie dalej. Dyspozycja zatem obowiązująca z generalkomando Sanhedrynu: o tej książce macie pisać natychmiast wszyscy i reklamować ją tak nahalnie i wrzaskliwie, żeby każdy goj (kretyn inteligentny) przeczytać to musiał! Wszyscy więc brać za pióra i na pokład! Z Kretschmera zrobić znakomitość wszechświatową! I że już tłómaczony na wszystkie języki! Prezentować jako poradnik: w jaki sposób wytworzyć gatunek genjalnych ludzi w narodach które bardzo szwankują pod tym względem! I zaintrygować każdego czytelnika tem, czy on przypadkiem niema zadatków na genjalnego człowieka wedle recepty profesora Kretschmera!...

„dlatego każdy, komu te wartości nie są obce, czytać będzie fascynującą i otwierającą szerokie perspektywy idei i myśli książkę Kretschmera z prawdziwem wzruszeniem."

Jak się łatwo można domyśleć i przekonać znów i oszustwo i szwindel. Najpierw co do samego Kretschmera. Całkiem sobie pokątny nieznany uczony prowincjonalny, popularyzujący poglądy prof. dr. Eug. Fischera z Kaiser-Wilhelm Instytutu Berlińskiego, które już dawno obalił dr. profesor Güntner z Jeny. Zresztą niech o tej książce na ten temat głos zabiorą o tej książce pp. Czekanowski, Studencki, Stołychwo no i może ksiądz prof. dr. Bolesław Rosiński, sanator ze Lwowa, który niestety nie zawahał się niedawno publikować w kwestji rasowości poglądy zbliżone do excen — triców docenta Kretschmera z Marburga.

O co chodzi w tej robocie? Czemu żydzi rozciągnęli odrazu taki gorący patronat nad dziełem naukowem, przetłumaczonem przez obrotnego ex-faryza? Otóż rozchodzi się o propagandę w Polsce mieszanych małżeństw, indykacji cielesnych, krzyżowań gatunków i walki z homogamią i czystością rasową. Czują tu i ówdzie nóż na gardle i nadchodzący Sądny Dzień w Środkowo-Wschodniej Europie... Więc godzą się na jaknajwiększą na razie cyfrę mieszanych małżeństw szczególnie w wyższych dziesięciu tysiącach miast wielkich i stołecznych. Tak nakazał im sztab generalny. Wiedzą bowiem z doświadczenia że tak mężowie żydówek (w Anglji nazywają ich *squaw-man*) jak i dzieci z mieszanych małżeństw optują prawie zawsze za rasą wybraną. Rozchodzi się więc teraz o to, aby tak w Paryżu jak i w Warszawie (Pradze, Wiedniu, Hadze, Bukareszcie, Rydze, Atenach i t. p.) było jaknajwięcej małżeństw mieszanych. Z tej przyczyny Słonimski musi pisać taką a nie inną komedyjkę sezonową a M. F. Brückner pisze ideowo identyczną tylko patetyczną sztukę: „Rasy", graną oczywiście i w Paryżu („L'Oeuvre"). Suggerować ciżbom i masom głupowatych goyów, że niema żadnego zagadnienia rasowego, że wszystko jest w Warszawie i w Paryżu przemieszane ze sobą, że już nie można odróżnić mieszańca od parszywca a Frankisty od Sarmaty.

Dla żydów zagadnienie rasowe zostało i obowiązuje nadal. Pan Appenszlak wyraźnie pisze:

„Ferdynard Brückner, Lessing, Wasserman, Döblin, Feuchtwanger, Kerr, Wassermann — wszyscy zasymilowani do szpiku kości, zniemczeni aż do atomów — zaczynają pozytywnie mówić o żydostwie, o sjoniźmie, o przebudzeniu rasy żydowskiej.

I tak jest istotnie. Alfred Doeblin dał świeżo fanatyczno-opentańczą apoteozę rasowości semickiej („Judische Erneuerung"). Drugi żyd przepędzony Lion (sic) Feuchtwanger dał formalną „sagę" rasową powieść p. t. „Geschwister Oppenheim", przepojoną kultem rasy, rasowości, dziedziczności, ekskluzywności. W „Sociologie der Juden" dał uczony dr. A. Ruppin również pean ku czci swej rasy żydowskiej dla której domagają się prymatu w rzędzie ras ludzkich. Natomiast narodom, wśród których się mnożą, rozrastają i pasożytują, tym radzą, suflerują, suggerują: bagatelizację rasowości i promiscuicję międzynarodową, bastardyzację, wiedząc doskonale, że metysi i mieszańcy aż do piątego pokolenia będą w krytycznych momentach bronili interesów rasy mocniejszej, starszej, wytrwalszej, żywotniejszej, no i co to ukrywać o 43% do 78%... inteligentniejszej.

Kretschmera: „Ludzie genjalni" ma niby udowodnić i przekonać arjów autochtonów, że ludzie wielcy rodzą się tylko na terenach skrzyżowania ras i gatunków; można to niby wykazać nawet na mapie. Rasowo czyści (Nordycy, Sarmaci) są intelektualnie małowartościowi. Homogamja jest inferior. Człowiek „reprezentacyjny" jest produktem skrzyżowania, *consanguinitatis: par exemple* — Anglosasi, Frankowie, - Gallowie. Ergo: precz z idealizowaniem czystości rasowej! a nakazana, polecana w naszych warunkach kopulacja stadowa z najbliższą drugą rasą, podrzędną, domową rasą obcą to jest z żydami. Wtedy zacznie się już rodzić masowo progeniturs genjalna „reprezentacyjna", władcza z *superiority complex* we krwi.

Oczywista czysty brudny szwindel! Godzinami można cytować geniuszów i „genialnych" czystej rasy nic z bastardyzmem nie mających wspólnego. I znowu godzinami można recytować nieudałych, niewydarzonych, obciążonych, zdegenerowanych synów, mieszanych małżeństw polsko-żydowskich. Przy większem przemięszaniu tych dwóch ras stalibyśmy się narodem pełnym nie tyle... Colbertów i Rotszyldów, ile zboczeńców, kryminalistów, kombinatorów, hochsztaplerów, rastakuerów, włamywaczy i czarujących finansowych i salonowych rzezimieszków.

Książka Ernesta Kretschmera, przyswojona przez zajadłego Husytę Hulkę językowi polskiemu jest w wysokim stopniu szkodliwa i trucicielska. Szerzy bowiem defetystyczną gangrenę w narodzie ekonomicznie, finansowo, gospodarczo kalekim i słabo utalentowanym. Między wierszami mówi do nieprzygotowanych prymitywnych symplistów-czytelników (z Elity): żeńcie się z żydówkami a będziecie mieli synów spryciarzy i geszefciarzy, którzy dopiero pierwsi parjasowską Polskę wydobędą z bezdna biedy i nędzy.

To są kuszenia Masynissy: Judeopolonia a raczej Judosławia. Książka taka czytana przez miarodajną hołotę samouków i niedouków może swymi „wiedzowymi" toksynami wiele złego wyrządzić. Galicyjskim łowcom posagowych i posągowych Rachel, Ester i Judyt doda impetu, tupetu i pewności że są najlepszymi patryotami państwowemi, przymnażając po nocach „geniuszów" ojczyźnie...

Husyta Hulka stał się może nawet nieświadomie narzędziem Sanhedryństwa (mędrcy Syonu).

Głos ma teraz ksiądz Bolesław Rosiński, profesor Uniwersytetu Lwowskiego i rzeczoznawca w sprawach rasowych.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Aforyzmy.

Kiedy zbankrutujesz na całej linji, postaraj się, aby twe interesy wzięto pod dozór sądowy. Ostatnia to będzie dla ciebie posługa ze strony instytucyj społecznych. (Kerceli Handelsmensch. Pamiętniki).

*

Gdy ludzie albo wcale o tobie nie mówią, albo mówią tylko źle, to najwyższą satysfakcją, jaką możesz wymierzyć swemu autorytetowi, będzie, jeśli zmusisz wszystkich do zupełnego milczenia.

(Tamże)

*

Wielki twórca ma to do siebie, że nawet wtedy, gdy ci się zdawało, że go zdemolowałeś, jeszcze wzniesie dla ciebie katedrę.

(Olgierd Oblęgórka)

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ

NA „MYŚL NARODOWĄ“

KWARTAŁ III

lub

DRUGIE PÓŁROCZE

Cena kwartalnie 9, półrocznie 17 złotych

Konto czekowe P.K.O. 3105

OSTATNIE PRACE LITERACKIE

ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO

Mickiewicz i Słowacki (Gebethner i Wolff) . 3.—
Seweryn Goszczyński (Św. Wojciech) . . 2.—
Z życia poety romantycznego („Myśl Nar.") 1.20
Proces Lednickiego („Gaz. Warsz.") . . . 5.—
Jan Kasprowicz (Gebethner i Wolff) . . . 4.—
O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej („Myśl Nar.") . . . . 2.—
Współcześni (Gebethner i Wolff). . . . . 6.—
Dyskusje (Św. Wojciech) . . . . 5.—
Wspomnienia o Kasprowiczu i Żeromskim (Gebethner i Wolff) . . . . . 4.—
Poeci i teatr (Gebethner i Wolff) 7.50
Pieśń w górach („Patria", Dom Ks. P.) . . 5.—
Wnukom o prapradziadku (Gebethner i Wolff) 4.—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

ROMANA DMOWSKIEGO

PRZEWRÓT

CENA ZŁ. 8.— Str. XII i 494

MYŚLI NOWOCZESNEGO POLAKA

CENA ZŁ. 5.— Str. XLIV i 296
4-te uzupełnione wydanie

Do nabycia we wszystkich księgarniach.
Skład główny: w adm. „Gazety Warszaw."

NAKŁADEM TOW. WYD. „PATRIA" SPÓŁDZ. Z ODP. UDZ. WYSZŁY KSIĄŻKI:

Joachim Bartoszewicz
ZAGADNIENIA POLITYKI POLSKIEJ
CENA 3 ZŁ.

Zygmunt Wasilewski
PIEŚŃ W GÓRACH
CENA 5 ZŁ.

Jan Gwalbert Pawlikowski
SPOŁECZNO-POLITYCZNE IDEJE SŁOWACKIEGO W DOBIE MISTYCYZMU
CENA 4 ZŁ.

Stefan Godlewski
WARSZAWA
CENA 5 ZŁ.

Jędrzej Giertych
„O PROGRAM POLITYKI KRESOWEJ"
CENA 4 ZŁ. 50 GR.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.
Skład główny w Domu Książki Polskiej.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.